MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 28. WARSZAWA, 7 LIPCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

O JEDNYM Z ŻYWOTÓW GINĄCEJ EPOKI

I

O ŚMIERCI Szymona Askenazego daliśmy wiadomość w poprzednim numerze „Myśli Narodowej". Świat naukowy powie o nim swoje słowo jako o historyku, ale stałaby się krzywda ambicjom jego życia, gdyby się pominęło rolę, jaką sam w dziejach Polski lat ostatnich odegrał. Miał bowiem niemałe ambicje polityczne.

Zwrócono powszechnie uwagę, że w żałobnem doniesieniu o śmierci nie było wymienione wyznanie Askenazego. Klepsydra kończyła się informacją, że pochowany będzie „na cmentarzu przy ul. Okopowej". Nie wszyscy znają tak dobrze geografję Warszawy, aby mogli grób odszukać, ale też nie wszyscy znają do tyla historję, aby mogli się zorjentować, czem się tłumaczy to niedomówienie.

Oto rys zasadniczy tego żywota: — niedomówienie. A przecież dużo się mówiło. Trzeba w tem widzieć bez ironji dramatyczny moment czasów. Na czoło społeczeństwa w tych czasach poczęli coraz gęściej wysuwać się ludzie o niedomówionych motywach działania. I to nie w byle jakiej dziedzinie, bo w zakresie wytwarzania najsubtelniejszej przędzy ducha narodowego, jak osąd przeszłości i wskazania dla narodu na przyszłość, jednem słowem tam, gdzie niedomówienie i wszelka dwuznaczność jest oznaką ciężkiego niedomagania kultury, grożącego zatratą świadomości dziejowej.

Dopiero z chwilą śmierci Askenazego, historyka i reprezentanta narodu polskiego, okazało się, że miał dwie historje swego żywota. Znaliśmy jedną, nie chcieliśmy znać innej: historję patrjoty polskiego, nauczyciela duszy polskiej, polskiego męża stanu, człowieka w swoim czasie bardzo wpływowego i jednego z najpopularniejszych. Nigdy, póki żył, nie odezwał się głos opinji społeczeństwa żydowskiego. upominający się o tę sławę dla siebie; nie przeszkadzano mu w roli, którą odgrywał. Zresztą Polacy byli tak zahypnotyzowani, że nie chcieliby tego głosu słyszeć. Była to jedna z naczelnych postaci w polskich kołach oświeconych Warszawy, arbiter zarówno kół liberalnych, jak i konserwatywnych w sprawach politycznych, historycznych, a nawet literackich, wytrzymujący doskonale najwyższe ciśnienia cenzury rosyjskiej, ale z drugiej strony uważany za maksymalny wyraz aspiracyj narodu polskiego. Młodzież polska w tym charakterze czciła go, gdy objął katedrę historji na Wszechnicy Jana Kazimierza we Lwowie. Wykłady jego owacyjnie były przyjmowane, i transmitowane na cały kraj sympatycznem echem reklamy, elektryzowały patrjotyzm polski. Takie były czasy. Nawet trudno się dziwić pewnej kategorji pokolenia, które w owych czasach niekrytycznie zaznajamiało się z życiem narodu, że dziś w telegramach kondolencyjnych tak żal swój wyraża:

„Wobec zgonu znakomitego uczonego, którego dzieła były źródłem siły i entuzjazmu dla pokolenia, idącego do walki o Niepodległość, przesyłam wyrazy głębokiego żalu i współczucia".

Dopiero po śmierci odezwały się kroniki żydowskie. Historyk narodu żydowskiego dr. Majer Bałaban pisze o nim w „Naszym Przeglądzie":

„Potomek Chachama Cwi Askenazego w linji prostej, przejął po swych przodkach postawę i hart ducha. Wysoki, smukły, mocno krótkowidzący przypominał zupełnie Chachama Cwi, którego znamy z portretu często reprodukowanego. Ojciec Szymona, Wolf Askenazy był kupcem wielkiej miary, przytem człowiek wykształcony również *in judaicis*, członek komitetu wielkiej Synagogi na Tłomackiem, dał synowi rozległe wykształcenie i nie zapomniał również o języku hebrajskim i naukach biblijnych. Nauczycielem młodego Szymona był znany hebraista i tłómacz Grätza Szefer-Rabinowicz, którego już jako wielki uczony wspominał z czcią i sentymentem."

Z wywodów dr. Bałabana okazuje się, że Askenazy był przeciwnikiem syjonizmu, który uważał za sztuczny twór, zaszczepiony przez niemieckie żydostwo wśród żydów w Polsce:

„Czy w swych licznych zawodach życiowych, a także po objektywnem bankructwie asymilacji i narodzeniu się rasizmu hitlerowskiego i praktycznem odrodzeniu Palestyny pozostał wierny swym pierwotnym ideałom?"—pyta dr. Bałaban. — „Nie wiem, gdyż unikał w rozmowie tego tematu i stale przechodził do kwestyj naukowych, szczególnie do rozbudowy historji żydów w Polsce, oraz instytucyj, mających i mogących to ułatwić. Wziął też udział w uroczystości położenia kamienia węgielnego pod Wielką Bibljotekę Judaistyczną przy Synagodze, przychodził do Synagogi na „Sądny Dzień", ostatnio widziałem go śpieszącego do Synagogi na modlitwę w rocznicę śmierci swego ojca, Wolfa Askenazego".

II

Na zwykłą logikę, linje życia dwu odrębnych jaźni narodowych, polskiej i żydowskiej powinny zachować jakąś równoległość. Skądże tak się stało, że Askenazy dostał się w centra życia duchowego Polski w roli regulatora jej sumienia dziejowego? Łącznikiem i syntezą tych dwu nurtów było utajone pod spodem dziejów życie lóż masońskich.

Askenazy zajmował napewno wysokie stanowisko w tajnej organizacji żydostwa, w Warszawie zaś był wpływową osobistością w organizacji polskiej masonerji. Sposobił się do tej roli podwójnej już od ławy uniwersyteckiej. Ukończył wydział prawny na Uniwersytecie Warszawskim razem z Winawerem, autorem rozprawy polskiej o Fryczu Modrzewskim. Winawer jednak przeznaczony był dla Rosji. Będąc adwokatem petersburskim, wkrótce zasłynął jako polityk, a w Dumie widzieliśmy go na czele partji Kadetów, kładących Rosję na obie łopatki. Askenazy, pozostawszy w Warszawie (po studjach odbytych w Getyndze), wypłynął w dobrze zorganizowanem środowisku, o czem świadczyła systematycznie szerzona koło niego chwała. Należał do grupy, w której najczynniejszy był lekarz Karol Benni, aczkolwiek formalnie głową jej był Dyonizy Henkel. Należały do niej osobistości z różnych sfer, jak Edward Leo, Al. Kłobukowski, A. Osuchowski, finansjera żydowska. Askenazy był tutaj wyrocznią.

Wielkie musiał mieć wpływy, skoro zdobył katedrę we Lwowie. Umocniwszy się tam przy pomocy młodzieży, przez siebie w pewnem kółku zorganizowanej, nie taił swoich ambicyj politycznych. Za główne zaś zadanie uznał osłabianie wpływów stronnictwa narodowego przez szerzenie w niem rozłamów.

Jako badacz naukowy zadanie swe upatrzył w zbadaniu archiwów z przełomu wieków 18 i 19, popisowego dla masonerji. Nie kierowała nim przecież ciekawość duszy polskiej, historykiem był przewag masonerji. Stosunki miał rozległe, otwierały one przed nim sezamy archiwów petersburskich. O tych pracach archiwalnych pisze teraz St. Szpotański w „Kur. Warsz."

„Od pierwszych swoich prac kapitalnych, jak „Studja historyczno-krytyczne" (1894), a zwłaszcza „Przymierze polsko-pruskie" (1900), Szymon Askenazy wyczerpywał często dotąd niezbadane i nietknięte źródła archiwalne. Do archiwów miał niezwykle szczęśliwą rękę. Samo zestawienie odnalezionych przez niego archiwów stanowiłoby pokaźną pozycję naukową. Posiadając wielki europejski autorytet i ogromne stosunki, miał do rozporządzenia dokumenty dla nikogo innego niedostępne i jedyne. „Pamiętnik Łukasińskiego", pisany w twierdzy schlüsselburskiej, po śmierci jego zapieczętowany, na specjalne zezwolenie Mikołaja II był dla Askenazego sprowadzony, dla przestudjowania, do Archiwum Rady Państwa w Petersburgu.

Ks. Łobanow-Rostowski, rosyjski minister spraw zagranicznych, historyk z zamiłowania, kazał dla Askenazego otworzyć archiwum swego ministerjum, który to przykład tak podziałał, że otworem stanęły wkrótce przed polskim uczonym i inne archiwa petersburskie, moskiewskie, a nawet najszczelniej bodaj zamknięte archiwum warszawskie. Mógł przeto podjąć Askenazy rewizję całych polskich dziejów porozbiorowych".

Poniatowscy, Łukasińscy, patroni i bohaterowie wolnomularstwa, zapanowali odtąd w historjografji polskiej. Dawna przeszłość na długi czas poszła w pogardzanie. Askenazy stworzył nie tyle szkołę, ile modę. W umysłach utrwaliło się potrochu przekonanie, że dzieje Polski zaczynają się od ks. Józefa Poniatowskiego. Stąd kult Łukasińskiego i wszelkich poczynań rewolucyjnych, propagowany przez masonerję w sferach socjalistycznych, kult, którego wyrazem są dotąd opinje, że dzieła Askenazego były źródłem „siły i entuzjazmu" dla pokolenia „niepodległościowego".

Askenazy jako historyk znał tylko jednostki historyczne i akty treści politycznej. Życia narodu w grę nie wciągał. Historja dla niego to łańcuch „interesów" politycznych i intryg. Wyrazu „naród" zdaje się nie użył ani razu, chyba w cytacie z aktów.

Niepospolity talent pisarski czynił jego pracę zajmującą, ale darmo szukalibyśmy tam tonów struny, które tak głęboko sięgały w duszę polską przy czytaniu Korzona, Szujskiego, Kalinki, nawet Bobrzyńskiego. Ta struna w duszy polskiej wibruje pod napięciem sercowego wczuwania się w dzieje, wczuwania, którego umysłowym odpowiednikiem jest intuicja. Tu był rozmysł tylko i talent pisarski.

III

Ten brak serdecznej łączności z Polską ułatwiał uczonemu znakomicie rolę, gdy z historyka stawał się politykiem. Stanowiskiem jego w czasie wojny była neutralność. Przytoczę obszerniej działalność Askanazego w czasie wojny. Trzymać się tu będę relacji „Gazety Warsz." z paźdz. 1922 r.

Na wiosnę r. 1915, gdy jeszcze Warszawa nie wierzyła w możliwość okupacji niemieckiej, gdy Rosja delektowała się podbojem Galicji, gdy państwa centralne, Niemcy i Austrja nie miały jeszcze żadnego ustalonego planu na wypadek zajęcia Polski i właściwie nic jeszcze Polakom nie przyrzekały, Askenazy miał już swoją orjentację, zajął „neutralny" posterunek w Szwajcarji i baczył, skąd wiatr wieje.

Askenazy od początku wierzył w zwycięstwo państw centralnych, ale nie pozostawał bez wskazówek żydowskiego komitetu spraw zagranicznych w Londynie, który już w styczniu 1915 r. utworzył specjalny wydział do kierowania sprawami żydów w związku z ewentualną rekonstrukcją Europy wschodniej. Na czele wydziału stał p. Lucien Wolff. Na wypadek przegranej państw centralnych żydzi asekurowali się zawczasu w Anglji, aby jej ofiarować swój sojusz. Tem się tłumaczy, że Londyn stał się ogniskiem pod koniec wojny

polityki żydowskiej. Tam też był czynny z ramienia „kadetów" polskich p. A. Zaleski.

Askenazy sytuację miał tem trudniejszą, że ambicje osobiste i stosunki w Polsce posiadane, pchały go do podwójnej roli politycznej, której do końca nie mógł w sobie skoordynować — żydowskiej i polskiej. Stąd poszło, że obie grał fałszywie, żadnej ze stron nie zadowalając i nigdzie nie budząc zaufania.

Jako polityk żydowski, pragnący zwycięstwa państw centralnych, nawiązał w Szwajcarji stosunki z siecią agentów żydowskich, rozrzuconych po świecie. Była to jego robota osobista, poufna i ta była polityczna. W tej roli wydawać począł niebawem publikację, szczelnie się zakonspirowując („Uwagi"). Jako przedstawiciel Polski, znalazł wygodne oparcie o utworzony w Vevey Komitet pomocy ofiarom wojny w Polsce i tu występował, jako działacz humanitarny. To było jego „alibi".

Askenazy był przekonany, że uda mu się zagranicą schwytać w ręce wszystkie nici sprawy polskiej i wypłynąć wysoko na fali wypadków. Liczył, że Komitet Narodowy z Dmowskim, zawiązany w Warszawie, nie wydobędzie się z kraju, a sprawa polska, jeśli wypłynie zagranicą, wpadnie jemu w ręce. Niepokojem przejmowała go popularność Paderewskiego, czy nie zepsuje mu planów osobistych, a z drugiej strony trapiła go obawa, czy nie zbuntuje się Sienkiewicz, jako przeciwnik orjentacji austrjackiej.

W tych okolicznościach zjawił się w Szwajcarji wysłannik krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego (pod przewodnictwem W. L. Jaworskiego), mający zbadać, jakie widoki ma w Europie koncepcja austrjackiego rozwiązania sprawy polskiej. Stawił się on u Askenazego na wywiad.

Wyszedł na jaw po wojnie raport tego wysłannika, złożony Naczelnemu Komitetowi Narodowemu, zawierający sprawozdanie z objazdu Szwajcarji w dniach od 9 do 26 marca 1915 r. W ustępie, zatytułowanym „Widzenie z Askenazym", autor raportu zdaje sprawę z rozmowy, którą na zlecenie NKN z nim prowadził.

Askenazy, który udawał przed światem (i przed Sienkiewiczem) ententofila, wobec wysłannika austrofilskiego NKN odkrył karty:

„Askenazy zwraca uwagę na niejednolitość składu zarządu (komitetu) Veveyskiego. Tłumaczy, iż musiał np. zapewnić komitetowi Paderewskiego, który tak jest popularny w Szwajcarji, iż odrazu wziętoby na swe barki zarzut niesnasek i partyjności, gdyby go pominięto. Paderewski zaś gotuje im bardzo przykre niespodzianki... Paderewski jest człowiekiem tak ulegającym wpływom, iż komitet nie ma nadziei na okiełznanie go, nie można nigdy wiedzieć, co zrobi. Natomiast wiadomo, iż jest w ścisłej łączności z Piltzem. Wkrótce po wyjeździe Paderewskiego do Paryża udał się tam za nim Piltz i cały czas razem działali. Chcąc uniknąć odpowiedzialności przed Komitetem, Paderewski ogłosił w „*Temps*", że Komitet paryski nie ma nic wspólnego z Komitetem obywatelskim. Ponieważ jednocześnie Komitet paryski ogłosił, że pieniądze należy przelewać do Komitetu w Vevey, więc zastrzeżenie powyższe jest komedją.

Niesforność Paderewskiego można ukrócić w sposób, nie dążący do rozłamu w łonie Zarządu i wywołania złego wrażenia na zewnątrz. Tak np. Askenazy radzi poufnie i niema nic przeciwko temu, aby w „*Polen*"[1]) napisać na Paderewskiego, złączyć jego imię z Piltzem, co będzie dla niego ciosem takim, aby w Ameryce go zgnębić. Ale oszczędzać należy, a nawet podnieść czystość imienia Sienkiewicza w podobnych wystąpieniach jak paryskie, Osuchowskiego i innych.

Komitet w Vevey stara się również pośrednio unieszkodliwić działalność Paderewskiego. Tak np. wiedząc, iż jedzie on do Londynu, wysłano tam 60 listów do najwybitniejszych obywateli w imieniu Komitetu, tak, iż Paderewski znajdzie grunt w niepożądany dla siebie sposób przygotowany".

Kiedy przyszło do wyjaśnień, dlaczego Komitet w Vevey nie popiera jawnie N. K. N., Askenazy wyznał szczerze, że chodzi o zachowanie pozorów, bo inaczej musieliby uznać także warszawski: Komitet Narodowy, a do tego Askenazy nie dopuści. Mowa o Komitecie Narodowym, który się przeniósł do Petersburga z Dmowskim w r. 1915.

Wreszcie Askenazy dotknął stosunku do Sienkiewicza. Umówiono się coprawda, że Komitet sam stoi na gruncie apolitycznym, aczkolwiek pozostawia wolność przekonań osobistych członkom na zewnątrz. Lada chwila Sienkiewicz mógł skorzystać z wolności osobistej i wypowiedzieć się przeciwko planom niemiecko-żydowskim, a wtedy gra będzie utrudniona. Myśląc ciągle o tem niebezpieczeństwie zwierzył wysłannikowi N. K. N. ideję następującą:

„Trzeba wysłać koniecznie kogoś dla zjednania Sienkiewicza, który jest przeciwnikiem N. K. N. i Legjonów. Ale kogoś jednak poważnego, może z dawnych znajomych Sienkiewicza. Byli w Vevey Skarbek, Witos i Tetmajer, niechże i N. K. N. o tem pomyśli".

Askenazemu nie poszczęściło się. Oszołomiony nieprzewidzianemi wypadkami Wielkiej Wojny, na razie, w ciągu paru lat, kiedy inna loża rządziła w Polsce, a później wszedł mu w drogę Paderewski, usunął się na ubocze, i czekał. Przyszedł czas na niego. Nowy minister spraw zagranicznych powołał go do Ligi Narodów. Zabezpieczony formalnie tytułem dyplomaty polskiego, swobodnie już mógł spełniać misję właściwą w świecie politycznym. Osiągnął to, o czem marzył. Stworzył syntezę dwóch światów, dwóch polityk, żydowskiej i polskiej. Ale już na krótko.

IV

Jakże wielka zaszła zmiana w umysłowości polskiej w ciągu lat ostatnich po wojnie! Żydzi robią jeszcze karjery, ale tylko dzięki specjalnej bezkonjunkturze politycznej; na duszy społeczeństwa polskiego karjery już nie zrobią. Dzisiaj wychodzą książki, noszące tytuł: „Zmierzch Izraela". Polak nie szuka już w dziełach Askenazego źródła siły i entuzjazmu, nie do pomyślenia jest rola, jaką żydzi odgrywali w końcu wieku XIX w naszem życiu duchowem. Doświadczył tego na sobie sam Askenazy, który, pomimo swoich uzdolnień i orderów (Francuska Legja Honorowa), nie mógł już myśleć o powrocie do służby dyplomatycznej; jakiś mur stanął między nim a katedrą uniwersytecką. Usunął się, zamilkł i znikł na szereg lat przed śmiercią. Czuł się zupełnie samotny.

Usunęły mu się z pod nóg podstawy zarówno polskiej polityki, jak i żydowskiej. Każda z nich musiała pójść osobno swoją drogą. I na tem właśnie bankrutuje masonerja, że nie zdoła już dokonać syntezy tych dwu światów. Ten los czeka wszystkich, którzy budować chcą przyszłość na sztucznej symbiozie.

Z. W.

---

[1]) Było to czasopismo w Wiedniu, służące NKN'owi, a obsadzone przez żyda Goldscheidera (dziś Goryńskiego).

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

POLITYKA MORSKA WŁADYSŁAWA IV

BŁĘDY ojcowskie starał się naprawić jego syn i następca, popularny i lubiony w całej Polsce, król Władysław IV (1632 — 1648 r.). Był to człowiek rozumny, energiczny i gruntownie wykształcony, a pozatem świetny wódz i przewidujący, a realny polityk. Grała w nim ambicja Wazów co do korony szwedzkiej, uważał linję sudermańską za uzurpatorską, lecz do opanowania Sztokholmu dążył, opierając się na środkach rzeczywistych, a nie urojonych. Choć ożeniony z arcyksiężniczką wiedeńską, Cecylją Renatą, nie poddawał się wpływom niemieckim, a przeciwnie, dążył systematycznie do oparcia się o Francję. Sprawę szwedzką uważał za swoją dynastyczną, lecz widział również wielkie jej znaczenie dla Polski, uważanej przezeń za swą prawdziwą ojczyznę. Dlatego też, zaraz po elekcji, zakończył chlubnie rozpoczęte bez powodu przez swego ojca wojny: moskiewską i turecką i zwrócił swe wysiłki na północ, gdzie w 1635 r. kończył się rozejm Sztumski.

W Szwecji, po śmierci Gustawa Adolfa w Wojnie Trzydziestoletniej pod Lützen (1632 r.), działo się nieszczególnie: rządziła regencja, wojna w Niemczech pochłaniała masę ludzi i sporo pieniędzy, a choć łupy wojenne w Rzeszy i subwencje francuskie wynagradzały to częściowo, kraj czuł się wyczerpany. Moment odwetu za kampanję pruską był zatem odpowiedni, a oprócz tego popularny w kraju monarcha mógł liczyć na to, na co nie mógł nigdy rachować jego ojciec, t. j. na zaufanie i dobre chęci społeczeństwa.

Zagadnienie północne chciał Władysław IV uregulować w drodze wojennej. Wojska szwedzkie, zaangażowane od 1630 r. w Niemczech, zależały całkowicie od przeprawy przez Bałtyk. Gustaw Adolf opanował wprawdzie Pomorze nadodrzańskie, stanowiące *place d'armes* dla jego sił zbrojnych, lecz jedynym łącznikiem między Rzeszą a Szwecją był flota szwedzka, na którą z ukosa spozierali, rozbici coprawda przez cesarskich, lecz tradycyjnie wrodzy Szwedom, Duńczycy. W działaniach wojennych przeciwko Szwecji, jakie chciał prowadzić Władysław IV, kwestja floty wojennej była na pierwszym planie. Król, będący uczniem starego hetmana Stanisława Koniecpolskiego, podzielał w zupełności opinję tego doświadczonego żołnierza, który jeszcze podczas kampanji pruskiej pisał do Zygmunta III: „...Szalony chyba nie widzi, jako potrzebna była ta armata". Rozumiał też wagę marynarki wojennej w grożącej rozprawie ogół polski, podając Władysławowi do zaprzysiężenia w *pacta conventa*: „1. Puck w Prusiech, na którym wiele Rzeczypospolitej zależy, ufortyfikować i 2. A iż na sposobieniu *classis maritimae* wiele Rzeczypospolitej zależy, tedy *inibimus rationes* z stanami koronnemi, jakoby *classis* jaka wedle potrzeby Rzeczypospolitej sposobiona być mogła". Zrozumienie doniosłości marynarki wojennej dało się odczuć w sejmikach, nawet nietylko w województwach pruskich, co było całkiem naturalne, lecz także w dalekich ruskich.

Władysław IV brał się do rzeczy gruntownie i systematycznie. Przedewszystkiem wysłał oficerów korpusu inżynierji na szczegółowe obejrzenie wybrzeża morskiego i twierdz pruskich i pomorskich, znajdujących się bądź w posiadaniu szwedzkiem, bądź elektorskiem. Następnie odbył długie narady z hetmanem Koniecpolskim co do prowadzenia ewentualnej kampanji. Król, po naradach, zdecydował: skoncentrować wojska lądowe w Prusach Królewskich między Toruniem a Tczewem, wybudować nowy port wojenny, niezależny całkowicie od Gdańska i wystawić pierwszą eskadrę w składzie dwunastu okrętów wojennych, opierających się o ów nowy port. Sejm szedł na rękę królowi, uchwalając podatki wojenne, pospolite ruszenie i zaciągi nowych pułków.

Koniecpolski, wykonywając polecenia królewskie, nakazał wymarsz oddziałów z granic moskiewskiej i tureckiej do Prus Królewskich, a król udał się w 1634 r. osobiście do Gdańska, aby samemu czuwać nad przygotowaniami. Tam odebrał raporty od wysłanych poprzednio oficerów inżynierji o stanie fortec i zaakceptował przedstawiony przez płk. Jana Pleitnera projekt budowy nowego portu wojennego na półwyspie helskim w okolicach wsi Chałupy. Kupno okrętów wojennych powierzył król gdańszczaninowi, Jerzemu Hewelowi, jednemu z najbogatszych i najdoświadczeńszych armatorów, u którego zamieszkał. Budowa portu, zakup okrętów i wszystkie sprawy, związane z morzem, były pokrywane narazie z prywatnej szkatuły królewskiej. Na wiosnę roku następnego Pleitner przystąpił do budowy portu i fortyfikacyj na półwyspie helskim, a Hewel zdążył zakupić dwanaście okrętów. Zaciągiem załóg okrętowych zajął się dawny członek Komisji Okrętów Królewskich, Chrystjan Strobandt, a zaopatrzeniem artyleryjskiem i uzbrojeniowem — Wilhelm Wolfersein.

Kiedy prace nad marynarką wojenną były w pełnym toku, Władysław IV powołał do życia, zainicjowaną przez jego ojca, Komisję Okrętów Królewskich, nadając jej takie same atrybuty, jakie piastowała poprzednio. Przewodniczącym komisji był mianowany starosta kościerzyński, Gerard hrabia Dönhoff, zaś admirałem i dowódcą floty — Aleksander Beten z pomocnikiem w stopniu wiceadmirała, Klausem Beckerem. Nowy port wojenny otrzymał nazwę Władysławowa, a znajdujące się niedaleko fortyfikacje nadbrzeżne (gdzie dziś wieś Kuźnica) — Kazimierzowa.

Tymczasem rokowania ze Szwedami szły tępo, co było po myśli królewskiej, albowiem groziło wojną, do której dążył Władysław IV. W połowie 1635 r. port, fortyfikacje nadbrzeżne i okręty były już gotowe. Wojna wisiała na włosku, a hetman Koniecpolski zatoczył wielki obóz pod Kwidzyniem (niem. Marienwerder). Król znów przyjechał na wybrzeże i tam dokonał osobistej inspekcji wojsk i floty.

Ta gotowość wojenna Polski, a jednocześnie perswazje Francji, dążącej wytrwale do pogodze-

nia dwu państw zwaśnionych, zrobiły swoje w Szwecji. Pełnomocnicy regenta, kanclerza Oxenstierny zmiękli i, ku wielkiemu zmartwieniu Władysława IV, przeszli na ton pokojowy. Sejm polski, chcąc uzyskać jaknajwięcej bez rozpoczęcia kroków wojennych, odmówił odrazu uchwalenia podatków na dalszy żołd dla wojska. Król nie mógł w danym wypadku nic poradzić i w dniu 12 września 1635 r. rozejm sztumski został przedłużony na 26 lat. Rozejm ten zwracał Polsce część Inflant (powiaty: dyneburski, rzeżycki, lucyński i marjenhauski), oswobadzał zajęte przez Szwedów porty w Prusach Książęcych i oddawał z powrotem w ręce polskie Elbląg, Sztum, Malborg i Głowę, zajmowane dotychczas przez wojska Jerzego Wilhelma. Część strat, poniesionych za Zygmunta III, była powetowana.

Władysław IV nie tracił z oczu sprawy bałtyckiej, pomimo jej połowicznego załatwienia przez prolongatę rozejmu sztumskiego. W marynarce wojennej widział on najpewniejszy środek do uderzenia na Szwedów i tę marynarkę starał się utrzymać w ciągłem pogotowiu. Porty: pucki, kazimierzowski i władysławowski oraz jednostki floty były utrzymywane w należytym porządku. Zagadnienie floty było ciągle poruszane na sejmie i sejmikach. Naród rozumiał potrzebę tej marynarki, lecz, niestety, zwalał troskę o jej utrzymanie na barki monarchy. Szczupła szkatuła królewska nie mogła na to nastarczyć i król musiał się ustawicznie oglądać za nowemi środkami, które mogłyby zapewnić stały i regularny dochód na utrzymanie floty. W tem przekonaniu umacniało go coraz większe zainteresowanie się mas szlacheckich sprawami morskiemi. Historyk Szymon Starowolski wystąpił z głośnym projektem, popartym przez obszarników ukraińskich i litewskich, o uruchomienie wielkiego handlu morskiego z Bliskim Wschodem drogą morską. W tym celu proponował Starowolski wykopać kanał bałtycko-czarnomorski, łączący Dźwinę z Berezyną i skierować cały ruch handlowy z Litwy i Ukrainy, stanowiących doniedawna zaplecze Rygi, na morze Czarne. Był to zasadniczo pęd nienaturalny, bo właściwą drogą Polski był zawsze Bałtyk, lecz w każdym razie zajęcie się projektami Starowolskiego wskazywało na zrozumienie ekonomiczne spraw morskich. Władysław IV widział, że szlachta chętnie widzi polską marynarkę na morzu, tembardziej, że zarówno Szwedzi, jak i Duńczycy przestali szykanować eksport gdański, składający się z polskich produktów rolniczych. Szlachta nie chciała tylko dawać pieniędzy na tę flotę. Wobec tego król zaczął zastanawiać się nad cłami morskiemi, pobieranemi w portach.

Na zasadzie pierwszego rozejmu sztumskiego z 1629 r. do skarbu szwedzkiego wpływało $3^1/_2\%$ od wartości towarów, przywożonych drogą morską do Gdańska i Piławy. Drugi rozejm sztumski z 1635 r. pozwalał monarsze polskiemu utrzymać te $3^1/_2\%$ cła w ciągu dwu lat na własny użytek. Niezwłocznie po podpisaniu tego rozejmu wydał Władysław IV dekret o wprowadzeniu na lat dwa tego cła w portach: gdańskim, piławskim, kłajpedzkim i libawskim i zlecił dopilnowanie poborów celnych swym okrętom wojennym. Dla większej powagi przyjechał król do Gdańska i oznajmił osobiście radzie miejskiej swoją wolę, przypominając miastu jednocześnie, że nie ono, lecz król polski ma prawo otwierania i zamykania żeglugi i że królowi oraz Rzeczypospolitej składa przysięgę na wierność komendant Latarni. Gdańszczanie, którzy bardzo spokornieli wobec energicznych kroków królewskich, prosili tylko o czas do technicznego załatwienia sprawy. Użyli jednak tej zwłoki na przewiedzenie się o długach królewskich, powstałych głównie z wydatków na utrzymanie floty i wybudowanie Władysławowa, za które Rzeczpospolita nie zwróciła królowi ani grosza, a samo kupno okrętów wyniosło 500.000 zł. Władysław IV był szarpany ustawicznie przez wierzycieli, więc miasto zaproponowało mu jednorazową sumę 800.000 zł., płatną natychmiast pod warunkiem odłożenia ceł na później. Nieszczęsny monarcha musiał się na to zgodzić. Nie dał on jednak za wygraną i przy pomocy swego zaufanego doradcy Jerzego Ossolińskiego, podówczas wojewody sandomierskiego, rozpoczął energiczną propagandę w Polsce za uchwaleniem tych ceł przez sejm, z obowiązkiem utrzymywania z nich floty. Ossoliński, będąc rzecznikiem spraw morskich, podjął się zadania z całym zapałem i 3-go czerwca 1637 r. wygłosił na posiedzeniu senatu słynną swoją mowę o konieczności posiadania przez Polskę odpowiednio silnej marynarki wojennej i przeznaczenia na tę flotę ceł morskich. Mowa zyskała ogólne uznanie wśród senatorów i uchwalenie ceł morskich na potrzeby marynarki wojennej nastąpiło na najbliższej kadencji sejmowej tego roku.

Na zasadzie uchwały sejmowej wydał Władysław IV polecenie wybierania tych opłat celnych przez swoje okręty wojenne i mianował generalnym poborcą ceł morskich Holendra Izaaka Spiringa. Przed Gdańskiem i Piławą stanęły okręty królewskie i z dniem 5 października 1637 r. rozpoczęły one zwykłe czynności celne.

W Gdańsku wybuchnęła wtedy istna burza, przypominająca czasy buntu przeciwko Batoremu. Rozpoczął się zaciąg do wojska, umacnianie fortyfikacyj, protesty do Warszawy i wreszcie wysłanie delegatów do Francji, Anglji, Danji i Holandji oraz miast Hanzeatyckich. Swoją drogą dywizjon okrętów królewskich stanął pod Gdańskiem i spokojnie dokonywał pobierania cła. Wtedy odezwała się Danja, cierpiąca najwięcej na wprowadzeniu ceł, albowiem idące do Gdańska statki nie chciały uiszczać rogatkowego w cieśninie Sundzkiej, co skarb kopenhaski narażało na znaczne straty. W związku z powyższem król duński Chrystjan IV wysłał pod Gdańsk w grudniu tego roku swoją eskadrę pod komendą adm. Kork'a, który niespodziewanie uderzył na patrolujący tam dywizjon polski adm. Beckera. Niespodziewany napad udał się. Okręty Beckera częściowo zatopiono, częściowo wzięto do niewoli i kontrola nad Gdańskiem ustała.

Rozpoczęła się wymiana not dyplomatycznych między Warszawa a Kopenhagą, a jednocześnie Władysław IV, dotknięty do żywego napadem duńskim, zaczął gorączkowo szykować się do wojny. Sejmowi zostały przedstawione żądania królewskie: wojny z Danją i ogłoszenia Gdańska w stanie buntu. Sejm zebrał się w marcu 1638 r., lecz przeważyła na nim chęć polubownego załatwienia zatargu z Danją oraz przebaczenia Gdańskowi. Władysław IV rozchorował się ze zmartwień i doznanych upokorzeń, albowiem zniewagę duńską postanowiono załatwić w drodze dyplomatycznej,

a kwestje celne z Gdańskiem powierzono rozpatrzeniu komisji, złożonej z 39 członków. W ostateczności Duńczycy zwrócili w rok później zagarnięte okręty, a Gdańsk musiał zapłacić 600.000 zł. Pobór atoli ceł wprowadzony nie został, a z nim zaginęła możność utrzymywania marynarki wojennej. Król Władysław IV nie mógł już łożyć, a Rzeczpospolita nie chciała.

W tym właśnie okresie, kiedy pękały fundamenty finansowe polskiej marynarki wojennej, nastąpiło powiększenie Pomorza nadwiślańskiego, owych Prus Królewskich, od strony zachodniej. Mianowicie, umarł w 1637 r. ostatni potomek prastarej dynastji książąt Pomorza nadodrzańskiego, Bogusław XIV. Miał on, jako lenne, dwa powiaty Pomorza nadwiślańskiego: bytowski (niem. Bütow) i lęborski (niem. Lauenburg), puszczone swego czasu przez Zygmunta Starego jako zastaw sumy posagowej jego siostry Anny. Obecnie wracały one do Rzeczypospolitej i granice polskie posunęły się na zachodzie, nad Bałtykiem, aż do rzeki Łeby (niem. Leb) i jeziora Łebskiego (niem. Leba-See).

Władysław IV z bólem serca dał za wygraną w sprawie tworzenia floty i skierowania ekspansji polskiej ku starym szlakom bałtyckim. Nie mógł on tego robić, nie mając środków, a potężniejące coraz bardziej „królewięta" ukraińskie ciągnęły Rzeczpospolitą coraz więcej na wschód. Za niemi zaczynał szybko iść ogół. Tracił na pozytności słynny „Dyskurs potrzebny", napisany przez Ossolińskiego, a dowodzący słuszności i konieczności wprowadzenia ceł morskich na potrzeby marynarki wojennej. Nie czytywano już więcej świetnej odpowiedzi nieznanego autora na uroszczenia duńskie, jaką umieścił w „*Antimare Balticum*". Niewielu też prawdopodobnie znalazła czytelników praca wspomnianego powyżej Szymona Starowolskiego o wojnie morskiej p. t. „*Institutorum rei militaris libri VIII*", w której autor poruszył historję wojen morskich, taktykę i strategję morską oraz budownictwo okrętowe. Ten pęd na wschód zaczął wydawać swoje gorzkie owoce w chwili zgonu króla Władysława IV, a owocami temi była rebelja Chmielnickiego.

Władysław IV, jak mógł i o ile mógł, poprawiał błędy swego rodzica. Zmniejszył straty terytorjalne na wybrzeżu, utrzymywał flotę na Bałtyku, popierał polskie dążenia ekonomiczne, lecz nie mógł zwalczyć ogarniającego społeczeństwo bezwładu, który doprowadzał jedynie do eksploatacji ziem ukraińskich, a zamykał oczy narodowi na jego odwieczne szlaki zachodnie.

Potem nastąpiły czasy krwawego „potopu", w których Szwecja rozpoczęła wojnę, początkowo o zagarnięcie, w myśl testamentu Gustawa Adolfa, całego polskiego pasa nadbrzeżnego, Prus Królewskich i Książęcych, a zakończyła projektem podziału Polski między Szwecję, Moskwę, i wiarołomnego elektora, lennika z Prus Książęcych.

Szabla polska zdołała obronić niepodległość i rozpędziła wrogów na cztery wiatry, lecz w traktacie Oliwskim (1660 r.), choć zostawiła terytorjalny *status quo ante*, to powtórzyła zwolnienie elektora Fryderyka Wilhelma z hołdu z Prus Książęcych. Książę pruski, łączący się, wzorem swego ojca Jerzego Wilhelma, przy pierwszej sposobności z wrogami Rzeczypospolitej, otrzymał w nagrodę za swe krzywoprzysięstwo zupełną niezależność z obowiązkiem hołdowniczym jedynie z owych zwróconych za Władysława IV Bytowa i Lęborka. Ten oburzający układ, zawarty początkowo w Welawie i Bydgoszczy (1657 r.), a powtórzony w Oliwie, nastąpił naskutek perswazyj dworu wiedeńskiego, protegującego zawsze Brandenburczyków przeciwko Polsce i wciągającego Rzeczpospolitą w walki na wschodzie.

Wystąpił też przeciwko niemu pogromca Turków Jan III Sobieski (1674 — 1696 r.).

WITOLD HUBERT

FRANCISZEK II RAKOCZI

(1676 — 1735)

W KWIETNIU bieżącego roku obchodziły Węgry dwóchsetną rocznicę śmierci jednego z największych i najsławniejszych swoich bohaterów, księcia Franciszka Rakoczego. Postać to bardzo piękna i dla swoich czasów bardzo typowa, a warto ją i u nas przypomnieć, nie tylko dla analogji losów z takim Kościuszką czy Czartoryskim, ale i dlatego, że Rakoczy dwukrotnie był w Polsce, po polsku umiał i z Polską był nawet przez swoje pochodzenie związany.

Nam sławne nazwisko Rakoczych kojarzy się prędzej z dziadem ostatniego „kuruca" — księciem Jerzym II, któremu to, jak mówi pan Pasek, zachciało się polskiego czosnku i który swoją rabunkową wyprawą dopełnił miarę nieszczęść potopu; — albo, co właśnie jest pamiętaniem o samej postaci Franciszka II, z tym marszem ognistym o werwie marsyljanki i o skoczności naszego mazurka, który często uważamy nawet poprostu za narodowy hymn węgierski, jakim oficjalnie nie jest, choć w sercach narodu bezsprzecznie pierwsze miejsce zajmuje. Marsz Rakoczego—to właśnie marsz bojowy ostatnich kuruców, który tak zrósł się z imieniem swego wodza, jak mazurek Dąbrowskiego i tak samo z jego imieniem i jego chwałą zapadł w duszę narodu.

Tytułów do zaszczytnego miejsca w panteonie narodowym ma Rakoczy dla Węgrów wiele, ale przedewszystkiem figuruje tam jako ich rycerz niezłomny, węgierski Bayard czy Zawisza; co jak książe Józef — Bogu mógł oddać tylko honor ojczyzny i jak Kościuszko zasłużył sobie na cześć dla niezrównanej piękności charakteru.

Wnuk indygenowanego w Polsce, w r. 1654, a tak dla niej niewdzięcznego księcia Jerzego II, a prawnuk Polki — Anny Zakrzewskiej, żony Andrzeja Batorego, był przez jej córkę a swoją babkę spokrewniony z królem Stefanem; łączyło go ponadto pokrewieństwo z Sieniawskimi. Ojciec jego, Franciszek I żonaty był ze Zrińską, córką sławnego bana Piotra, poety chorwackiego i męczen-

nika walk o niepodległość obu zjednoczonych królestw (słynna „urota zrińsko-frankopańska"), a bratanicą wielkiego poety węgierskiego Mikołaja, autora „Obrony Szigetu" i zwycięzcy z pod Kostejnicy. Płynęła więc w jego żyłach obficie krew słowiańska i ten wielki Węgier, jak żaden może inny, reprezentuje dziecięciowiekową spólnotę losów słowiańszczyzny z Węgrami, a jak na udokumentowanie tego, u jego kolebki stoją wybitnie antygermańskie tradycje tych wszystkich rodów, do których możnaby dołączyć jeszcze inny: Thökölich, skoro matka księcia — Helena, owdowiawszy wyszła w r. 1682 za słynnego wodza kuruców i „Księcia Górnych Węgier", Emeryka Thökölego, wychowanego i wykształconego w Polsce.

Związany tak ściśle z patrjotyczno-węgierskiemi rodami, Franciszek II, niejako już od samego urodzenia wplątany został w koło walk węgierskich. Małem dzieckiem przeszedł oblężenie Munkacza, bronionego bohatersko przez matkę, po uwięzieniu przez Turków ojczyma. Gdy zaś twierdza ostatecznie w 1688 roku została przez cesarskich wzięta, — młody książę został matce odebrany i jako jeniec powędrował do Wiednia. Tam i na uniwersytecie praskim z rąk Jezuitów odebrał wychowanie, został pierwszym w swoim rodzie gorliwym katolikiem i prawdziwym księciem baroku, rozmiłowanym w sztuce i zbytku, które to jego zamiłowania i cechy spotęgowała jeszcze podróż do Włoch, ośrodka sztuk i katolicyzmu.

Mając lat osiemnaście, poślubił Karolinę-Amelję, księżniczkę hesko-renańską i z nią razem udał się na Węgry, gdzie zetknięcie się z nędzą ludu, zapoznanie się z opłakanem położeniem ojczyzny i wpływ takich patrjotów jak hrabia Mikołaj Bercsényi — wyprowadziły młodego księcia z jego miękkiej i jedwabnej egzystencji na pole twardej służby ojczyźnie, do jakiej przeznaczała go już najwcześniejsza jego młodość i sławne pochodzenie.

Znając trudności położenia i rozumiejąc daremność walki bez sprzymierzeńców, akcję swoją Rakoczy zaczął przedewszystkiem od szukania sojuszników. Narzucała tu się Francja, zdawna wroga Austrji, z którą właśnie zacząć miała nową wojnę o sukcesję hiszpańską. Zamiary księcia zostały jednak zdradzone i ta pierwsza akcja skończyła się jego uwięzieniem, w kwietniu 1701 r., w zamku w Wiener — Neustadt, gdzie przed trzydziestu laty ścięto jego dziadka Zrińskiego. Dzięki jednak pomocy pilnujących go oficerów udaje mu się uciec i w listopadzie 1701 Rakoczy jest w Polsce, dokąd już przedtem schronił się Bercsényi. W Warszawie zaczęła się teraz nowa gra polityczna, do której próbowano wciągnąć także Augusta Mocnego obietnicami korony węgierskiej, której jednak, patrząc na północ, nie przyjął. Uzyskali za to Rakoczy i Bercsényi obietnicę poparcia od ambasadora francuskiego przy dworze polskim, markiza du Héron'a, poczem udali się do Sieniewskich do Brzeżan — skąd łatwiej było czuwać nad dojrzewającemi wypadkami na Węgrzech. Ten pierwszy polski pobyt Rakoczego trwał blizko dwa lata, bo w lecie 1703 roku—wybuchło wreszcie w północnych Węgrzech powstanie, i książę, przyjąwszy delegację kuruców we wsi Kliniec, przeszedł 15 czerwca koło Ławocznego granicę i zaczął swoją ośmioletnią walkę o niepodległość ojczyzny.

To ostatnie aż do Kossutha powstanie węgierskie zapowiadało się zrazu pomyślnie i Rakoczy, obwołany w lipcu 1704 roku księciem siedmiogrodzkim, zdołał nawet w roku 1707, na sejmie w Onod, przeprowadzić detronizację Habsburgów. Talent jednak dyplomatyczny cesarza Józefa I i wojenny jego generała, okrutnego Heistera zrobiły swoje i słabo popierane przez Francję powstanie, od przegranej bitwy pod Trenczynem w sierpniu 1708 r. — właściwie dogorywało. Kres położył mu pokój szatmerski, kończący ostatecznie długą, bo roku 1526 sięgającą erę ciągłych wojen na Węgrzech. Rakoczy przez Keżmark w r. 1711 dostał się do Polski, gdzie też zaczęło się jego lat 24 trwające wygnanie.

Ostatnia wojna kurucowska, pełna dramatycznych .momentów i charakterystycznych postaci (wystarczy przytoczyć takiego Ocskaia, naprzód brygadjera wojsk powstańczych i bohatera narodowego, o którym marsz Rakoczego wspomina, jako o rycerzu o niezrównanej chwale, — a później generała cesarskiego i „labanca", za tą zdradę na haniebną śmierć skazanego), — odezwała się wspaniałem echem w literaturze. Naprzód tej prostej, ludowej — w bezpośrednich pieśniach kurucowskich i tułaczych (*bujdosok*) — później u Jokaia, Herczega i innych. Zwłaszcza Jokai z lubością wracał do tych czasów, którym poświęcił dwie wielkie swoje powieści: „Aż do śmierci", mówiącą o Ocskaiu i „Białą damę z Lewoczy".

Chwila, kiedy książę Rakoczy, zanuciwszy smutną pieśń pożegnania (popularne „*Gyenge violannak...*") opuścił przez Keżmak Węgry, stanowi epokę w historji. Tworzy też ona polityczną emigrację węgierską, owych „*bujdosok*", których cały szereg osiedlił się w Polsce. Tu też na pierwsze lata wygnania znalazł przytułek i sam książę, osiadłszy w swoich dobrach jarosławskich. Rychło jednak (1712) przez Gdańsk opuścił Polskę i, po krótkim pobycie w Anglji, wylądował w Dieppe we Francji, w styczniu 1713 roku. Łudził się, że zdoła wpłynąć na los Węgier w postanowieniach traktatowych, a gdy to okazało się daremne, rozgoryczony cofnął się od dworu i osiadł w Grosbois, obok eremu Kamedułów, pogrążony całkowicie w dewocji i trosce o zbawienie duszy. Z tą chwilą właściwie kończy się jego rola polityczna, bo choć później wyjeżdża do Turcji w nadziei wyzyskania dla Węgier jej zatargów z Habsburgami, to jednak pokój passarowicki w 1718 r. tym wszystkim rachubom kres kładzie — i cały długi pobyt Rakoczego w Rodosto, niedaleko od Nikomedji, gdzie na wygnaniu umarł jego ojczym— jest już tylko cichem wegetowaniem. Smutek i beznadziejność melancholji tych chwil wygnańczych genjalnie opisał paź książęcy, Mikes w swoich „Listach z Rodosto", prawdziwej chlubie węgierskiej literatury.

Tak więc w krótkiem streszczeniu przedstawiałoby się życie księcia Franciszka Rakoczego, i ono dostatecznie już może charakteryzuje jego postać. Widać, że to życie — to ofiara, że jest to obok chwil świetnych pasmo wyrzeczeń i goryczy, zakończone samotną śmiercią w Rodosto, na którą książę niemal lat dwadzieścia czekał. Życie ciężkie i bez tego, co zwykle za szczęście uważamy, skoro żona Rakoczego, do której pisał on wzruszające wiersze np. słynną do dziś piosenkę „Leć jaskółko"! („*Repulj féekcém*"!) — nie chciała po-

dzielić jego wygnania, jak to ongiś zrobiła Helena Zrinyi dla Thökölego. Stało się ono symbolem wiernej i bezinteresownej służby ojczyźnie — w czem Rakoczy uderzająco podobny jest do równie prawego Kościuszki.

Do Kościuszki podobny jest również i z czego innego — z nadzwyczajnej dobroci i miękkości charakteru, która nie pozwalała mu karać i kazała darowywać najgorsze winy. Tak jak Kościuszko, prawy i anielsko dobry, nie znał się Rakoczy na ludziach, nie umiał być twardy i nie umiał rozkazywać. Miał za to jak Kościuszko serca ludzkie za sobą — święty zapał i wiarę w słuszność swej sprawy i ten jakiś idealizm w kierowaniu kampanją, który króciutką insurekcję przybliża jednak do długiej rakoczańskiej wojny.

Nie sposób jeszcze jednego rysu w charakterystyce księcia pominąć — jego gorącego katolicyzmu, tembardziej, że to był pierwszy w swoim rodzie katolik i to katolik bardzo w duchu swojej epoki. Wiara jego ma coś z barokowych świątyń,— cechuje ją rozmach, głębokie przekonanie i miłość do tego Kościoła, który nigdy nie wyparł się poezji, znalazł zawsze miejsce dla piękna i sztuki, i Boga od ludzi nie odsuwał. Jak każdą duszę wielką, klęski przybliżyły Rakoczego do Boga, i we Francji, a później w Rodosto — popadł on nawet w pewnego rodzaju mistycyzm, mocno trącący jansenistowskim *Port-Royal*'em. I to nawet objaw nie obcy naszej emigracji, gdzie Mickiewicz, Towiański i Zmartwychstańcy do podobnej ewolucji dochodzą.

Piękny charakter, niezłomność zasad, wyrzeczenie się i ofiara, jak również tragiczne koleje życia — stworzyły jakby legendę Rakoczego, którego imię i którego marsz stały się rodzajem symbolu. Tej legendy nie zdołało nic obalić, wszelkie próby „odbronzowiania" księcia potraktowano jako „szarganie świętości", w czem widzieć należy zdrowy odruch narodu, potrzebującego w swoim panteonie nie tylko świątyń dla udolności i sukcesu, ale i dla cnoty. Rakoczy jak Kościuszko uratował honor swojej Ojczyzny i dlatego tak jak Kościuszko — zyskał sobie nieśmiertelność i wdzięczność u swojego narodu.

KAROL STEFAN FRYCZ

NORWIDJANA II

ROZPRAWA O HISTORJOZOFJI SŁOWA

podał STANISŁAW PIGOŃ

W PAPIERACH po J. B. Zaleskim zachowała się spora rozprawa, bez tytułu, daty i podpisu, napisana ręką — niechybnie Norwida. Znana Mirjamowi, przeznaczona widać do tomu G. Pism Zebranych, nie została dotąd ogłoszona, choć znakomitą większość podobnych rozpraw udostępnił nam wydawca już to po czasopismach już też w osobnym tomiku Ineditów.

Rozprawa mieści się w zeszycie 4° złożonym z ośmiu kart (jedna od góry obcięta), zapisanych obustronnie. Tekst kończy się na karcie 8 *recto* u góry; dolna spora część stronicy i cała stronica następna (16) — czyste. Wolno stąd wnosić, że rękopis dochował się w całości. Z drugiej strony widoczne jest z tekstu, że rozprawa nie stanowi całości skończonej, jest fragmentem i to fragmentem początkowym, urwanym dość wcześnie, nie wychodzącym treściowo poza starożytność.

Wnosząc z treści, możnaby przyjąć dla rozprawy tytuł: *Słowo i litera, w dziejowym rozwoju uważane*. Tytuł ten wiąże ją rodowo bliżej z poematem *Rzecz o wolności słowa*. Nie w tym sensie, jakoby rozprawa była prozaiczną wersją poematu. Nie jest ona tem bynajmniej, jest natomiast podjęciem tegoż tematu w innym przekroju zainteresowania; możnaby powiedzieć: jest tamtego poematu dalszym ciągiem. Ciągiem nietylko ideowym ale nawet kompozycyjnym.

Rzecz o wolności słowa była — jak wiadomo — prelekcją, jedną z cyklu prelekcyj publicznych, urządzanych przez Komitet Stowarzyszenia Pomocy Naukowej w Paryżu. Udział Norwida w tym cyklu nie miał się pierwotnie ograniczać do jednego występu; poeta zgłosił trzy odczyty, oczywiście tworzące pewien ideowy tryptyk. Sam pisze o tem w styczniu 1871 r. do Komitetu Stowarzyszenia:

> „Ja na czas chciałem dać: 1. pojęcie w o l n o ś c i s ł o w a, potem 2. p r z e g l ą d f i l o z o f i j n y d z i e j ó w i s p r a w y, potem dopiero zagaić 3. k w e s t j ą b i e ż ą c ą" (*Kultura* 1931, nr. 5).

Mówiąc o tym planie, stwierdza Mirjam, że poeta w członach dalszych cyklu porzucił formę wierszową, „dobierał styl jak można do treści właściwy", przeszedł do wywodów dyskursywnych. Członem trzecim cyklu była rozprawa (również fragmentarycznie dochowana), którą p. t. *Znicestwienie Narodu* ogłosił Mirjam we wspomnianym numerze tygodnika *Kultura*. Członem zapewne drugim jest ogłoszona poniżej rozprawa, dająca właśnie „przegląd filozofijny dziejów" Słowa.

Mając na uwadze tę łączność obu utworów, trzeba powiedzieć zgóry, że trudu dozna czytelnik poniższej rozprawy, przedzierając się przez jej swoistą terminologję i przez meandry myśli, jeżeli wpierw nie przygotowuje się do lektury dobrem zaznajomieniem się z tamtym poematem.

Takie zdeterminowanie rozprawy o Słowie i Literze pozwala zarazem ustalić czas jej powstania. Pochodzi ona najpewniej jeszcze z r. 1869, a co najpóźniej z r. 1870.

C. NORWID

[SŁOWO I LITERA]

[W DZIEJOWYM ROZWOJU UWAŻANE]

WSTĘP. Człowiek w osobie swojej d w o i s t y jest, myśl Sokratesa żyje do dziś, aż śmiertelnej osoby jego prochów niema.

Między treścią, która np. przeżyła Sokratesa, a formą jego nieharmonja dała — śmierć; umarł on dla nieproporcjonalnej wielkości myśli, której świadczył.

Proporcji takiej, nie można było i nie można mechanicznie zachować, bo jak ciałem stłumiemy ducha, czeka nas śmierć zwierzęca, — jak duchem ciało, śmierć półboska (heroiczna).

W całem więc życiu człowieka jest ta nieharmonja treści z formą, i dlatego kończy się życie taką lub owaką śmiercią.

Akt, w którym treść a forma najnierozdzielniej dopełniają się wzajem, jest słowo.

Słowo, które powiadam, np. „Ojcze!" dopóki je powiadam, nie może być na treść i formę rozdzielonem, bo nie istniałoby zupełnie, chyba jako akt psychiczny w duchu.

Nie uważajmy zatem, na co się dzieli słowo, ale z czego się składa.

SŁOWO NATURALNE. Słowo naturalne (uważane osobno) składa się: 1° z aktu psychicznego, 2° z poczucia wydźwięku całomechaniką organów głosowych, 3° z akustycznego, częścią onych organów, osklepienia.

Sprawa ta tak piorunnie ogniem jest żywotnym zapalona, iż współcześnie jakoby wszystkie się jej okresy odbywają.

Granice naturalne: Słowo takie ma swoje granice naturalne w organizmie człowieka, których nadużycie i nieużycie zarówno mogą być szkodliwe.

Granice moralne: Słowo takie ma jeszcze w sobie samem granicę, do której być może rozkładanem bez stracenia swej prawdy, albo spotworzenia się w kalambur. W pierwszym gwałcie serdeczny śmiech konwulsyj, w drugim płaskość je śmieszna ogranicza.

SŁOWO SPOŁECZNIE UWAŻANE. Słowo naturalne w życiu swem, t. j. społecznie uważane, w dwóch rodzajach potęgi występuje: 1° Jako każące, np. gdy powiadam do was: „pójdźcie tam"... 2° Jako obowiązujące, t. j. kiedy się gromadzimy wokoło obowiązującego nas słowem swojem np. poety...

Granice słowa każącego są przez to samo słowo okazane; mówiąc albowiem: „pójdźcie tam", znaczą zarazem, gdzie i dokąd, i znak jakby zatykam.

Granice słowa obowiązującego są w miarę skończoności źródła, które je rodzi.

Przekroczenie granic w pierwszym razie dałoby to zezwierzęcenie konwulsyjne, na jakiem np. słowo władzy Nabuchodonozora się skończyło; w drugim razie — nieunikniony szarlatanizm, albo wyniszczenie sił wewnętrznych; w obu — ubezwładnienie.

POJĘCIA POWYŻSZE WOBEC DZIEJÓW. W przed-alfabetycznej epoce (u ludów wschodnich mianowicie) słowa rozdzielać nie możemy na samogłoski i spółgłoski, a to choćby dlatego, że nie było jeszcze alfabetu, czyli że słowo w życiu było. Samogłoski naonczas byli to — samowładcy.

U Hebreów kabała, cabalah, pochodzi od hebrajskiego: Kibbel, — po łacinie accipere, po francusku apprendre, po polsku przejąć, i oznacza w prawdziwej treści swojej przejęcie się czem, namaszczenie, które wraz z tablicami na Synai Mojżesz miał otrzymać.

U Syryjczyków i Egipcjan przechowywano również tradycję wykrzyknięcia Imienia Bożego w sposób taki, że to o śmierć słuchacza przyprawiało.

Słowo takie każące, samowładztwo takie, wcielenie takie samogłosek, w przesileniu tylko lub w spoczynku określenie swoje znaleźć mogło.

Po skończonych wyprawach samowładca albo w nabuchodoryzmie się ubóstwił, t. j. zniżał i zbestwiał, albo stawił ukazem te ogromne pomniki, które do dziś na wschodzie spotykamy.

POMNIKI. Jak więc rzekło się wyżej, iż słowo naturalne składa się: 1° z aktu psychicznego, 2° z poczucia wydźwięku całomechaniką organów głosowych, 3° z akustycznego, częścią onych organów, osklepienia, — tak i słowo ukazu, na skalę społeczną przemienione, składało się z samogłosu inicjującego męża, który świątynię, piramidę, słup herkulesowy, cyrk albo grobowiec stawić kazał, monumentami onemi zakreślając granice słowa władzy swojej w odpoczynku.

Następnie z poddanych samogłosowi temu ludzi i z pomników, które są akustycznem osklepieniem słowa władzy onego...

Odtąd samowładza w sztukę dzielić się zaczęła, — poczucie oporu w naturze martwej, organizm pracy, talenta przyrodzone zaczęły odśrodkować nagiemu dotychczas ukazowi. Samowładcy owi, to jest (jak w przedalfabetycznej epoce się uważa) one wcielone samogłoski, one inicjujące akcenta odpoczęły w pomnikach i okazały się jawnie w pierwo-kształtach.

PIERWSZOKSZTAŁTY A PIERWOGŁOSY. Pierwokształtów pięć mamy: Trójkąt, elipsoida, prostopadła, koło, kwadrat (linja horyzontalna jest tylko teoretyczna, lub późniejszem pojęciem; ziemi płaskość zastępowała ją u dawnych).

Piramida—wszystkim ludom prawie wspólna, od Egipcjan aż do pierwotnych Meksykanów (którego to wspólnictwa nigdy archeologowie nie byli w stanie wytłumaczyć); wychodząc z pierwopojęć przyrodzonych, wyraziła pierwokształt: trójkąt A.

Elipsoida — wiele późniejszym jest pomnikiem, w dwóch kwadratach na sobie postawionych zakreślona będąc; jest to E, co także znaczy: dwa razy cztery — ośm:8.

Prostopadła — wyszła z obelisku, na kolumnie skończyła; jest to I.

Koło — w starych grobowcach, cyrkach i panteonach; jest to O.

Kwadrat — w pierwszej epoce stylu greckiego zasadniczy, jest to U.

Pierwokształty te jeszcze są pierwoliczbami: 1, 2, 3, 4, 5... i pierwosiłami etc., ale to nas tu nie obchodzi... Pamiętajmy tylko, że nic w świecie dotychczas bez pierwokształtów onych, albo choć idealnego ich pojęcia, utworzyć plastycznie niepodobna.

NA WIDOWNI

P. Słonimski o humorze staropolskim.—Wspólnota europejska i żydzi.—Podobieństwo Paska i Prusa.—„Snobizowanie się“ i brak snobizmu. — Niezrozumienie i droga wyjścia.

KLASYK — rzec można — literatury polsko-żydowskiej, jeden z jej najbardziej utalentowanych przedstawicieli, p. Antoni Słonimski podjął dyskusję na temat paru moich spostrzeżeń i uwag, jakie w tem miejscu, przed kilku tygodniami, ku pochwale humoru staropolskiego zamieściłem [1]). Osobistość autora „Murzyna warszawskiego”, pozycja, jaką w swojem środowisku zajmuje, przedewszystkiem zaś sam przedmiot polemiki, niewątpliwie zasługujący na pełniejsze oświetlenie, nakłaniają mnie, ażeby raz jeszcze powrócić do niektórych, poruszonych w replice p. Słonimskiego zagadnień. Wydaje mi się, że także dla czytelnika polskiego nie będą nudne dodatkowe jeszcze, dokładniej może ujmujące kwestję, uzupełnienia i wyjaśnienia.

Oto, mianowicie, główne tezy fejletonisty „Wiadomości Literackich”:

„... nie sądzę”—pisze p. Słomiński—„aby humor w Polsce należało tradycyjnie wiązać z Kochowskim, Paskiem, czy fraszkami Kochanowskiego. Humor tych czasów niewiele miał zresztą cech uchwytnej oryginalności. Plagjat, zapożyczenie pomysłu z obcego pisarza było rzeczą powszechną... Prus jest chyba pierwszym prozaikiem, który potrafił przesycić swą pracę mądrym i finezyjnym humorem. I właśnie nie dlatego, że naśladował Paska, ale dlatego, że poddał się płodnemu wpływowi Dickensa...

Ludzie twórczy w Polsce nie powinni... snobizować się staropolską fraszką, ani osławioną krzepą i pogodą, która kryła zbyt często wygodę i bezmyślność“...

Zacznijmyż od owego „zapożyczania pomysłów”, owych t. zw. motywów wędrownych w dawnej literaturze i od wpływu Dickensa na Prusa. Stwierdza to tylko rzecz znaną dobrze: wspólnotę cywilizacji europejskiej, wspólnotę niezaprzeczalną, wytworzoną przez historję i przyrodę, fakt, który dla każdego Europejczyka jest, oczywiście, czemś realnem całkiem, czemś nie budzącem najmniejszej wątpliwości. Czyż nie dlatego Dickens mógł być wzorem dla autora „Lalki”, nie dlatego był mu pisarzem bliskim i zrozumiałym, że ich narody przez stulecia całe wychowywały się w jedności Powszechnego Kościoła, w uniwersalizmie rycerskich tradycyj Średniowiecza, w tymże mniej więcej, i podobnie oddziaływającym, klimacie i fizycznym i duchowym? I tu odrazu, niby glossę na marginesie, można dorzucić nieodparcie nasuwającą się refleksję: jeżeli, mimo tych pokrewieństw rzeczywistych, nikt nie zaprzecza istnienia różnic pomiędzy Polakiem, Anglikiem, Francuzem, o ileż większa musi być odmienność Żydów, których i wiara, i organizacja wewnętrzna i pochodzenie wyraźnie przecież na przestrzeni dziejów od tej całości europejskiej odgraniczyły...

Powróćmy wszakże do zagadnienia podobieństwa między Paskiem i Prusem. Rzecz zrozumiała, nie naśladuje Prus Paska bynajmniej, ale w swojej postawie duchowej, w swych wrodzonych instynktach i odruchach, w poczuciu tego, co śmieszne, a z czego śmiać się nie godzi — bliższy niekiedy jest psychice pana Jana Chryzostoma, niżby się to obserwatorom powierzchownym mogło wydawać. Zapewne, nie są to — jak pisze p. Słonimski—rzeczy „uchwytne”, tak jak niełatwo jest zdefinjonować spojrzenie albo dźwięk głosu, choć one właśnie, więcej niźli słowa, mają znaczenia w chwilach najszczerszych, najserdeczniejszych zwierzeń i porozumień. Wspólność rysów rodzinnych pozwala się rozpoznawać, mimo pozornie odmiennego całkiem wyglądu przodka i jego dziedzica.

Pan Rzecki w „Lalce” nie archaizuje swojego słownictwa, nie wtrąca, co kilka zdań, lokucyj łacińskich, a przecież w swej, tkwiącej w głębi duszy fantazji rycerskiej, w bitwie czy w pojedynku, ten oficer węgierskiej piechoty jest z tegoż duchowo rodu, co i ów stary wojownik króla Jana Trzeciego, także na Węgrzech, pod Parkanami, pełniący swoją żołnierską powinność. Przypomnijmy Rzeckiego i jego psa—Ira, przypomnijmy uczoną wydrę pana Paska, i zastanówmy się następnie przez chwilę, czy ten stosunek do zwierzęcia—przyjaciela da się pomyśleć... wśród bohaterów komedyj Winawera albo Hemara. „Stary subjekt” Rzecki, za ladą sklepową, bez porównania okazałby się do Paska podobniejszy, niźli p. Tuwim, na najognistszym rumaku, w najautentyczniejszym, wypożyczonym z muzeum kostjumów historycznych, kontuszu...

W pewnym zakresie niewątpliwą słuszność przyznać też należy p. Słonimskiemu, kiedy przestrzega, że „ludzie twórczy w Polsce nie powinni... snobizować się staropolską fraszką“ i t. d. Snobizm ten rzeczywiście szerzy się w jego środowisku—dowodem „Rzecz czarnoleska” lub antologje pijackie p. Tuwima — i dobrze świadczy o wrażliwości fejletonisty „Wiadomości Literackich“, że zorjentował się, iż ten kierunek nie jest właściwy. Niestety wszakże, formułując swoje ostrzeżenie, zapomniał wziąć pod uwagę, że pośród „ludzi twórczych w Polsce” znajdują się również i... Polacy.

Otóż Polacy nie „snobizują się” staropolszczyzną (naprzykład: nie „snobizował się” Mickiewicz Soplicowem), bo jest to dla nich środowisko przyrodzone, świat, w którym są najbardziej „u siebie”. P. Tuwim w Czarnolesie czuje się mniej więcej podobnie, jak Paul Gauguin na Tahiti, ciągnie go tam i zachwyca: egzotyka, odmienność, osobliwość. Nas, odwrotnie, pod zewnętrzną formą innych zwyczajów, pociąga tożsamość instynktów i uczuć, tak bardzo bliskich dla nas i tak zrozumiałych, takich podobnych, pomimo przedziału stuleci! P. Tuwim niejako wyrywa się w daleki kraj, ulegając tajemniczemu urokowi jego piękna, my zaś, naodwrót, powracamy do domu własnego, gdy nam zbyt obco już i nazbyt ponuro pośród rejwachu żydowsko-międzynarodowej giełdy czy hotelu...

*

Jest w fejletonie p. Słonimskiego, obok wywodu rozumowego, także część uczuciowa, jakgdyby liryczna, w której, pod pokrywką drwiącego uśmiechu, łatwo wyczuwa się rzeczywiste całkiem, bolesne rozgoryczenie pisarza:

„Humor polski”—skarży się p. Słonimski—„ma podobno jakieś cechy odrębne i dlatego jestem wynajęty, jestem specem zagranicznym do bawienia jaśnie państwa. Chwilowo zabrakło staropolskiego miodu, więc trzeba się pocieszać

---

[1]) „Myśl. Nar.” nr. 18 z r. b. str. 282; „Wiadomości Literackie“ nr. 25 z r. b., „Kronika tygodniowa“ p. A. Słonimskiego.

pejsachówką. Owszem, można mnie używać, ale wiedząc, że to falsyfikat, że nie mam i mieć nie mogę rasowego polskiego humoru".

A w następnej „Kronice tygodniowej" („Wiad. lit." nr. 26 z dn. 30 czerwca r. b.) znowu skarga, że raz po raz, z tej albo z tamtej strony, odmawiają mu prawa głosu w różnych sprawach, uważając, iż nie potrafi ich zrozumieć:

„Nie mogę zrozumieć humoru staropolskiego, nie mogę zrozumieć chrześcijaństwa... Nie mogę zrozumieć wojny, bo nie jestem pułkownikiem, nie mogę zrozumieć pułkownika, bo nie byłem na wojnie" itd. itd.

Jednak współczucie, jakie ten smętek budzi, zostaje do pewnego stopnia złagodzone, kiedy tuż obok, na tejże stronicy „Wiadomości", czyta się długi, entuzjastyczny artykuł o „Skamandrze", napisany przez p. Stefana Pomera, przedrukowany z syjonistycznego „Naszego Przeglądu". Kto wie, może w tem przypadkowem sąsiedztwie jest jakgdyby przepowiednia, wskazówka, może to poprostu wyrocznia losu, wyznaczająca na przyszłość jedyną drogę? Nie chciałbym, by uwagę tę uznano za złośliwość: wierzę poprostu, iż utalentowany autor „Wieży Babel" znajdzie nakoniec, w tem języków pomieszaniu, swój język własny, że nim przemówi — i już nie będzie potrzebował żalić się na niezrozumienie.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

KTO ZA TO JEST ODPOWIEDZIALNY? Bardzo byliśmy wzruszeni z powodu odzyskania niepodległości, kiedy składaliśmy śluby Panu Bogu, że w podzięce postawimy w stolicy świątynię Opatrzności dla upamiętnienia tego doniosłego w dziejach Polski faktu. Skończyło się na założeniu kamienia węgielnego.

Idąc za głosem serca, uchwaliliśmy dalej wzniesienie pomnika Genjuszowi Narodu w osobie Adama Mickiewicza, przez wydanie kosztem skarbu wszystkich dzieł tego poety narodowego.

Dowiadujemy się teraz — poprostu z przerażeniem — że na dokończenie tego wydawnictwa zabrakło funduszów. Niema czem opłacić kosztów druku, a współpracownicy naukowi skazani są na tę niezmiernie ciężką pracę — bez żadnego honorarjum. Oczywiście w tych warunkach dokończenie tego przedsięwzięcia odwlecze się w nieskończoność.

Niema na to kredytów. Zapomniano. Genjusz polski starej daty! Teraz obowiązuje współczesność, przyszłościowość; kadenizm — to jest straż przednia genjuszu neo-polskiego!

Wykonawcy poczynionych ślubów na usprawiedliwienie przytoczyć mogą olbrzymie sumy, łożone w teatry miejskie (bardzo miłe posady!), w Akademję Literatury, w podróże p. Kadena po Europie i w PEN-Klub, w zbytkowne budowle reprezentacyjne, ale opinja publiczna ma już dość obłudnej gadaniny parwenjuszów o „rozbudowie kultury". Pragnie przedewszystkiem widzieć fakty, świadczące o rozumieniu takich elementarnych podstaw kultury, jak szacunek narodu dla samego siebie. Tej podstawy nie wolno niszczyć.

Wola społeczeństwa, publicznie wyrażona, przez czynniki wykonawcze akceptowana, jest obligiem honorowym. Błąkać pamięć społeczeństwa w takich rzeczach to odbierać mu poczytalność umysłową i moralną. Póki się uznanych ślubów nie wykona, nie wolno zabawiać świata nowemi pomysłami kolosalnych przedsięwzięć.

Któż nas poważnie traktować będzie, skoro sami siebie nie szanujemy!

CZEM JEST NOWY, narodowy ruch francuski, znany — pod nazwą „Krzyża Ognistego", jeszcze trudno orzec w sposób decydujący. W dzisiejszym stanie rzeczy nosi on w dużej mierze znamię uczuciowej reakcji patrjotycznej na dokonywające się stale wynaturzenie francuskiego życia politycznego. Zastanawiają jednak mocno słowa pułkownika de la Rocque'a, które wypowiedział przed komisją, badającą zajścia 6 lutego, rzucają one bowiem jaśniejsze światło na podłoże ideowe całego ruchu. „Nie jestem Mussolinim" — mówił — „ani Hitlerem. Wierzę w siły moralne Narodu". Owa wiara, przeciwstawiająca się zarówno faszyzmowi jak i hitleryzmowi, stawia obóz „Krzyża Ognistego" na nieco innej, aniżeli tamte, płaszczyźnie i świadczy, iż nie jest ich bezmyślną kopją. Jeśliby istotnie praktyka wykazała, że słowa te są zgodne z prawdą, to mielibyśmy tu do czynienia z ruchem istotnie i w pełniejszem słowa znaczeniu narodowym, a nie tylko ze znacjonalizowanym etatyzmem, czy zetatyzowanym nacjonalizmem, tak jak jest po części w Niemczech czy we Włoszech.

Prądy narodowe, niszcząc zeszłowiecznego wroga — zracjonalizowany i zmaterjalizowany światopogląd, ulegają niekiedy mu w niełatwej zresztą walce, przejmując samobójcze i sprzeczne z istotą narodu metody i formy. Jest to zupełnie zrozumiałe, doświadczeniu jednak dwu zwycięskich rewolucyj narodowych zawdzięczamy takie słowa, jak przytoczone dzisiaj przez nas zdanie pułkownika de la Rocque'a.

Z OBCEGO ŚWIATA

ODWAGA CYWILNA P. TARDIEU

UKAZAŁA się rewelacyjna książka, wyraz rzeczywistej odwagi cywilnej i poszanowania współobywateli; książka ta nie byłaby ani rewelacyjna, ani śmiała, gdyby napisał ją Maurras, a nie André Tardieu, który był wiele razy ministrem i parę razy premjerem. Na 250 stronnic książki „*Sur la pente*", wystarcza przeczytać 70; na tych siedemdziesięciu stronnicach *avant-propos* przedstawił Tardieu nieubłaganą krytykę francuskich instytucyj politycznych i środki zaradcze.

Książka p. Tardieu nie jest bynajmniej „wybitnie negatywna", jak się wyraził pewien przedstawiciel t. zw. sfer umiarkowanych, dla których odwaga p. Tardieu jest prawdziwym skandalem. Oczywiście uzasadniając swoje stanowisko, domagając się takiej zmiany, że możnaby ją nazwać rewolucją narodową, Tardieu musiał przedstawić argumenty zwalczające, negujące całość tła moralnego i mechanizmu politycznego Trzeciej Republi-

ki. Podkład ideologiczny, fundamenty moralne republiki francuskiej stanowią, jak konstatuje Tardieu, dogmaty o „dobroci naturalnej człowieka", ciągłym „postępie" i o moralności „naukowo" pojętej. Ten mesjanizm wyraża się przez abstrakcje: demokracja, wolność, braterstwo, sprawiedliwość, wola powszechna, równość. Walka z przeszłością jest koniecznym wynikiem wprowadzania w czyn światopoglądu republikańskiego, który jest nie czem innym, jak światopoglądem masońskim.

Tardieu bez żadnych obsłonek wskazuje, że masonerja odgrywała w historji ostatnich dwustu lat rolę zasadniczą i bez wzięcia jej pod uwagę, historja polityczna jest niezrozumiała. Nie krępując się, przybierając postawę Bernanos'a, de Roux, Bainville'a czy Gaxotte'a, przytacza Tardieu fakty stwierdzające, że republika francuska jest dziełem i narzędziem masonów, „jest ona masonerją, która wyszła ze swoich świątyń". Zdezorganizowanie i zdemoralizowanie narodu francuskiego daje się realizować przez ustrój polityczny, dzięki któremu rządzi tajna hierachja lóż, przez szkolnictwo i walkę ze spirytualistyczną, historyczną i narodową instytucją, którą jest dla Francji kościół katolicki. Antytradycyjny pseudo-nacjonalizm jakobińskiego charakteru i humanitaryzm, religję ludzkości, wprowadzili Jules Ferry, Paul Bert, Monod, F. Buisson i inni, jako podstawę świeckiej i republikańskiej moralności. W r. 1721 była jeszcze masonerja towarzystwem filozoficznem i filantropijnem, dzisiaj jest ona „przedsiębiorstwem kierującem i wyzyskującem państwo na rzecz wydziedziczonych". W uderzającej formule, przedstawia Tardieu, znaczenie masonerji: „Aby prędko osiągnąć powodzenie, trzeba było w innych czasach być szlachcicem albo królobójcą. Przy Trzeciej Republice trzeba być masonem".

Jakie są skutki panowania moralności republikańskiej *recte* masońskiej? „Staliśmy się jedynym w swoim rodzaju krajem, który nienawidzi swojej przeszłości. W szkole nie mówi się o Bogu od pięćdziesięciu lat, o ojczyźnie od lat trzydziestu, zaś o wojnie od lat piętnastu". Jedyna zmiana, która nastąpiła w szkolnictwie od czasów Gambetty, to było zastąpienie falangi nauczycieli radykalno-demokratycznych przez falangę socjalkomunistów. Rezultatem praktycznym takiego wychowywania jest zmaterjalizowanie społeczeństwa, które żąda od państwa jaknajwięcej, a chce jemu dać jaknajmniej. Prawie $^2/_3$ dochodu narodowego pochłaniane są przez państwo i chociaż od r. 1930 do r. 1934 dochód narodowy spadł o 80 miljardów, jednak nie zdecydowano się na obniżenie budżetu państwowego. „Państwo",—pisze Tardieu,—„wykonywając i wykonywając źle zadania, które do niego nie należą, nie ma siły ani woli, żeby spełniać funkcje, wynikające z natury państwa. Ani polityka zagraniczna, ani obrona kraju, utrzymanie porządku, wymiar sprawiedliwości nie są zapewnione, a przecież to są istotne zadania państwa. W polityce zagranicznej Francja ciągle oczekuje, aby naprzód wypowiedział się kto inny i jej troska o bezpieczeństwo wygląda jak błagania „o stan niezakłóconego posiadania", który jest utopją. W dziedzinie obrony narodowej niema żadnej ciągłości programowej, ministrowie wojny w ciągu miesiąca zmieniają zasadniczo swoje zdanie, oświadczając np. w marcu, że konieczne jest to, co uważali za bezużyteczne w lutym. Funkcja rządzenia podporządkowana jest funkcji wyborczej i „technicy parlamentarni" licytują się w podniecaniu obywateli mniej posiadających przeciwko obywatelom więcej posiadającym.

Jaki jest wymiar sprawiedliwości w ustroju, czerpiącym swoje natchnienia w Wielkiej Rewolucji Francuskiej, tego najlepszym obrazem „afera Stawiskiego". To wydarzenie charakteryzuje Tardieu w następujących słowach: „Afera Stawiskiego, ukrywana przez szereg miesięcy przez ministrów, policję i sędziów, którzy wszystko o niej wiedzieli, przyszła nagle w końcu grudnia 1933 r. do wiadomości publicznej. Ukazała ona społeczeństwu nadzwyczajne oszustwo, dokonane przy pomocy instytucyj publicznych pod opieką państwa i przy użyciu listów oficjalnych, podpisanych przez ministrów". Sprawę Stawiskiego starano się przedstawić społeczeństwu, jako fakt banalny, ale z początku to się nie udało i *régime*, chcąc się obronić, położył 6-go lutego na *Place de Concorde* 26 trupów i setki rannych. Po 6-ym lutego Gaston Doumergue mógł zrobić wszystko, ale wolał sfabrykować gabinet według sławnej recepty „zgody narodowej" i stał się zbawcą i narzędziem tych, którzy politycznie powinni byli umrzeć 6-go lutego. Pozwolono Doumergue'owi być chloroformem i oddalono go, gdy wziął na serjo rolę reformatora. Kraj wpadł znowu w apatję, która wynika ze świadomego kierowania społeczeństwa ku troskom materjalnym: „Przedewszystkiem sprawy gospodarcze",—rzucił jako hasło p. Flandin, następca Doumergue'a. Zatrucie i anemja społeczeństwa potęgują się coraz bardziej i p. Tardieu przewiduje, że nowe wybory usankcjonują klęskę chwilowo zbudzonego ducha narodowego. Dlaczego to jest możliwe? Dlatego, że *régime* nie spotyka się z prawdziwą opozycją. Nazywane są opozycją elementy katolickie, liberalne i niektóre sfery przemysłowo-finansowe, ale to nie jest prawdziwa opozycja. Polityki katolickiej niema, taktyka władz kościelnych i sfer katolickich polega na najmniejszym oporze i ciągłych ustępstwach oraz gromieniu sił intelektualnych (La Tour du Pin i de Mun) i organizacyjnych, które mogłyby działać na rzecz Francji katolickiej. Liberałowie i sfery przemysłowo-handlowe obawiają się wzięcia na siebie jakiejkolwiek odpowiedzialności politycznej i z największą chęcią pożyczają swoich ludzi do rządów „koncentracji" i „jedności", których zadaniem jest zasłonięcie nadużyć masońskich.

Gabinet Doumergue'a był wielkiem doświadczeniem, które przekreśliło ostatnią złudę: „Przedtem Francja mogła myśleć, że przeciwko nadużyciom demagogicznym lewicy znajdzie w centrum i na prawicy jednolitą siłę reformatorską". Teraz to jest niemożliwe. Tardieu stwierdza, że wszystkie rządy „koncentracji", „jedności" i „zgody" są oszustwem, bo powstają jako ratunek dla masonerji i lewicy, a kończą się jako klęska żywiołów patrjotycznych.

Jak już wyżej zaznaczyliśmy, książka Tardieu'go skierowana przeciwko „ideałom Wielkiej Rewolucji, przeciwko masonerji, parlamentaryzmowi, który przerodził się w ukrytą monopartyjność", nie ma bynajmniej li tylko negatywnej treści; Tardieu wskazuje, że programem państwa narodowego powinna być odwrotność naprawdę destrukcyjnego, naprawdę negatywnego programu Trzeciej Republiki, która niszczy właściwie twórcze, spiry-

tualistyczne i tradycyjne elementy. Błędne jest także mniemanie, jakoby Tardieu zamierzał wycofać się z życia politycznego; autor stwierdza, że nie chce dłużej swojem postępowaniem przeczyć swoim zasadom i że chce, aby w „przyszłych walkach" sytuacja była jasna. Nie postawił jeszcze A. Tardieu wszystkich kropek nad „i", ale jego książka jest czynem, gdyż w obecnej sytuacji nosi charakter manifestu narodowego, wydanego przez człowieka, który dotąd nie był odsunięty od steru politycznego (jak nacjonaliści typu M. Barrés'a i *Action Française*), ani nie stoi na końcu karjery politycznej (jak Millerand i Doumeugue). Manifest Tardieu'go jest wielkiem, mimowolnem poparciem dla politycznych zasad, propagowanych od wielu lat przez monarchistyczną *Action Française*; jest on śmielszy od niejasnych wynurzeń przywódcy *Croix de Feu*, podpułkownika de la Rocque, a nawet ciętością krytyki i przenikliwością przewyższa charakterystykę Trzeciej Republiki, opublikowaną niedawno przez Bainville'a.

Tardieu nie chce żadnej dyktatury, żadnych mechanicznie „silnych rządów", które wielokrotnie sprawiły Francji zawód i przyniosły klęski; nie sądzimy, aby Tardieu, autor „*Sur la pente*", był w istocie rzeczy na innej płaszczyźnie politycznej, niż hrabia Paryża, syn pretendenta do tronu francuskiego, który w ostatnim numerze swojego wydawnictwa „*Courrier Royal*" stwierdza: „Francuzi, którzy za Doumergue'iem żądają „silnej władzy", nie powinni zapominać, że siła jest gorsza od słabości, gdy może z dnia na dzień należyć do nieprzyjaciół Francji. Silna władza — tak, ale pod warunkiem, że będzie w sposób naturalny i bez możliwości zmiany oddana przedstawicielom idei narodowej". Według hrabiego Paryża warunek ten może być spełniony tylko przez monarchię, p. Tardieu do tej konkluzji nie doszedł.

Cała techniczno-organizacyjna strona (wybory) i cała treść (ideologja) Wielkiej Rewolucji Francuskiej została przez Tardieu potępiona; zmysł krytyczny byłego dygnitarza Trzeciej Republiki kazał mu potępić i to, co dotąd z największą perfidją przedstawiano, jako najjaśniejszą stronę tradycji wielkorewolucyjnej, a mianowicie „patrjotyzm" jakobiński, który, jak to słusznie dostrzegł Tardieu, miał za zadanie przekreślić całą wielką i bohaterską tradycję francuską z przed r. 1789. To, co rzeczywiście stanowi lukę w części pozytywnej książki „*Sur la pente*",—to niewskazanie elementów siły, strony technicznej, przy dokonaniu wielkiej zmiany; główną jednak rzeczą jest zabicie w umysłach francuskich trującej metafizyki wielkorewolucyjnej; gdy to nastąpi, wówczas i środki działania i program będą dla wszystkich jasne, stanowiąc konstrukcyjną odwrotność destrukcyjnej roboty, metod i instytucyj, których racją bytu jest kontynuowanie t. zw. Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Książka p. A. Tardieu jest zjawiskiem bardzo ciekawem, jest świadectwem samodzielności autora, który nie poszedł w ślady swego dawnego patrona, zdecydowanego filosemity i „patrjotycznego" jakobina, Clemenceau, i obrał inną drogę od ulubieńca „starego tygrysa" Georges Mandel'a (*recte* Rotschilda), który właśnie po upadku Doumergue'a zaczął występować w reprezentujących reakcję masońską gabinetach Flandin'a i Laval'a.

L. G.

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wyjątkowe miejsce w polskim ruchu naukowym zajmuje wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego p. t. „Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój". Ukazał się teraz tom XX tej cennej publikacji, poświęconej całkiem nowej gałęzi wiedzy, mianowicie nauce o nauce.

Najnowszy tom, wydany, jak wszystkie poprzednie, wytwornie i z niezwykłą starannością, liczy str. VIII, 380 i 34. Dodatek końcowy (34 strony) poświęcony jest bibljografji artykułów, zawartych w 20 wydanych już tomach. Jest to bowiem tom jubileuszowy. Wydawnictwo istotnie ma się czem poszczycić; jest to poważny dorobek nauki polskiej w dziedzinie samowiedzy tego naczelnego światła naszej kultury.

Tom dwudziesty zawiera działy i prace następujące: Nauka o nauce, opracowali M. Ossowska i S. Ossowski. — Nauka i państwo w utopji Campanelli, napisał B. Kieszkowski.— Twórczość naukowa Marjana Raciborskiego, jej źródła i drogi rozwoju, napisał W. Szafer. — Anglo-Polonica, angielskie źródła rękopiśmienne do dziejów stosunków kulturalnych Polski z Anglją, opracował S. Kot. — Polonica w archiwach jezuickich, opracował ks. S. Bednarski. — Działalność Fundacyj Rockefellerowskich na polu popierania nauki, opracowała F. Kruszewska. — Kronika polska: I. Akta ustawodawcze, dotyczące nauki i sztuki oraz szkolnictwa wyższego, ogłoszone w Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej w czasie od 1.I. 1934 do 31.XII. 1934 r. — II. Uzupełnienia do spisu instytucyj i towarzystw naukowych w Polsce.— III. Ruch organizacyjno-naukowy: Próba powołania do życia w Łodzi Towarzystwa Naukowego (J. Augustyniak). — Działalność Instytutu Śląskiego.— Zbiory naukowe w Nowogrodzie nad Narwią.—Związek Muzeów w Polsce (Z. Bocheński).—Wystawa przyrodnicza z 15-lecia pracy naukowej ośrodka lwowskiego 1920—1934 (J. H.).— Przegląd Zjazdów naukowych odbytych w Polsce w roku 1934.—I-szy Zjazd Działaczy Kulturalnych w Wilnie i projekt Izb Kultury (J. Adamus).— IV. Stan i potrzeby nauk specjalnych: O warunkach pracy badawczej młodych lekarzy (M. Kubiczek).— V. Listy do Redakcji: W sprawie Bibljoteki Poryckiej (W. Suchodolski). — W sprawie technicznych pracowników nauki (Z. B.). — VI. Sprawozdanie ósme z działalności Koła Naukoznawczego.

Zamyka zaś ten bogaty zbiór informacji obszerna kronika zagraniczna, obejmująca wszystkie kraje świata cywilizowanego. Cena tomu zł. 9.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Czytelnikom polskim nieobca jest najpewniej głośna obecnie „epopeja", mianowicie ośmiotomowa powieść J. Romains'a p. t. „*Les Hommes de bonne Volonté*" („Ludzie dobrej woli"), w której autor usiłuje odtworzyć typowe momenty bytu Francji, jej rozmaite sfery społeczne i nurtujące tam tendencje w okresie paroletnim, mniej więcej od 1908—10 roku. Jeszcze nie zdołano w tem należycie się zorjentować i ocenić trafności ewokacyj Romains'a, a już została wyróżniona znowu inna epopeja, mająca zawrzeć się w dwunastu tomach, o której mówią w prasie, iż wielkość jej godna jest dzieła Balzac'a... Tym kontynuatorem wielkiego twórcy „Komedji Ludzkiej", jest mało znany powieściopisarz Réné Béhaine, którego jedno z ogniw wspomnianej epopei wyszło ostatnio p. t. „*Les signes dans le ciel*" („Znaki na niebie").

(W. J.)

*

W związku z 25-cioleciem panowania króla Jerzego V, została mu poświęcona książka znanego publicysty francuskiego, R. Recouly, zatytułowana: „*George V et son peuple*" („Jerzy V i jego lud"). Mowa tu o mocnych i słabych stronach Anglji, jakie się ujawniły w ciągu dwudziestu pięciu lat ostatnich.

*

O mocnych i słabych stronach W. Brytanji z innych czasów, mówi bardzo ciekawa książka J. Delebecque'a p. t.: „*Gordon et le drame de Khartoum*". Generała Gordon'a, który, jak wiadomo, zginął w zdobytym przez powstańców Mahdi'ego Chartumie, przedstawia autor jako ofiarę szlachetności własnej natury oraz... parlamentaryzmu angielskiego, t.j. tych rządów parlamentarnych, na których czele stał podówczas wielki Gladstone. Podług autora książki, nierozumiano Gordona, który w stosunku do ludności Sudanu kierował się zasadą, iż Anglja i on sam, przyjmując misję rządzenia w tym

kraju, zaciągnęli wobec niej zobowiązanie moralne. Otóż Gladstone innego był zdania, mało był wrażliwy na nędzę sudańczyków, a chodziło mu przedewszystkiem o zachowanie swej większości w Westminsterze. Stąd pozostawienie Gordon'a jego własnym losom i nie danie mu pomocy w chwili krytycznej. (W. J.)

TEATR

„KRÓL" W TEATRZE POLSKIM

WYOBRAŹMY sobie, coby to było, gdyby któryś ze współczesnych komedjopisarzy polskich pozwolił sobie zamieścić w swoim utworze taką scenę:

Prezydent ministrów, dokonawszy, po naradzeniu się z czarującą kokotką i z kolegami, zmiany w składzie gabinetu, poleca zawiadomić o tym fakcie przedewszystkiem agencję prasową, następnie zaś dodaje z lekceważącem machnięciem ręki:

— Możecie także zawiadomić o tem Prezydenta Rzeczypospolitej.

Cenzura niewątpliwie skonfiskowałaby tę scenę bez pardonu.

We Francji żartować z ustroju republikańskiego, z władz, z instytucyj, z dygnitarzy wolno i prawdopodobnie niejeden z Prezydentów Rzeczypospolitej nagradzał powyższy żart Flersa i Caillaveta osobiście śmiechem i oklaskami.

„Króla" — uroczą, czteroaktową komedję, wyszydzającą przezabawnie przedewszystkiem protokuł dyplomatyczny, a przy okazji obyczaje polityczne Trzeciej Rzeczypospolitej — oglądamy w Warszawie bodajże po raz czwarty.

Ongiś, gdyśmy jeszcze sami nie posiadali ministrów i protokułu dyplomatycznego, sztuka ta była na naszym gruncie zjawiskiem bez porównania egzotyczniejszem, niż jest dzisiaj, gdy już posiadamy własnych dyplomatów w pierzastych pierogach i haftowanych frakach i gdyśmy zdążyli ugościć we własnej stolicy królewską parę rumuńską i monarchę Afganistanu.

Za czasów nieodżałowanej pamięci Kazimierza Kamińskiego grywano „Króla" zgodniej z intencjami autorów, niż to się dzieje obecnie. Przekład — jeśli mnie pamięć nie myli — A. Grzymały-Siedleckiego odtwarzał wierniej francuskie dowcipy, niż przekład teraźniejszy. W wybornej tej komedji każde zdanie jest dowcipne i każde powinno wywoływać uśmiech. Na przedstawieniu w Teatrze Polskim mnóstwo dowcipów przepada, nie przenosi rampy, nie dochodzi do publiczności. Tłumacz najniepotrzebniej przekład strywjalizował i upstrzył własnemi konceptami, które gatunkiem swoim nie dorównywają oryginałowi. Monarcha egzotyczny, tytułowy bohater komedji, nosi w oryginale imię Jan IV i jest władcą Serdanji. Wymyślona przez Flersa i Caillaveta Serdanja zdążyła stać się we Francji nazwą przysłowiową. W Teatrze Polskim obrzezano Jana Czwartego, kazano mu się nawrócić na Islam i przyjąć muzułmańskie imię Achmeda. Zmieniło to bardzo klimat komedji. Południowy kraik, z którego egzotyczny władca pochodzi, przesunął się geograficznie daleko na Wschód. Król z postaci komedjowej stał się niepotrzebnie figurą farsową, niemal operetkową. Kamiński grał tę rolę bez porównania mniej jaskrawo i mniej przesadnie od Marjusza Maszyńskiego, który szarżuje chwilami niemiłosiernie, odzierając kreowaną przez siebie postać z cech prawdopodobieństwa. Z mahometańskością imienia Achmed i z nazwą krainy Nassarbardżanu nie harmonizują zgoła wzmianki o świętym patronie tego kraju i o przywiązanym do wstęgi orderowej przywileju wjeżdżania konno do wszystkich świątyń.

Pomimo wszystkich szkód, wyrządzonych utworowi Flersa i Caillaveta przez tłumacza oraz przez reżysera, który komedję tę zainscenizował po farsowemu, widowisko w Teatrze Polskim zasługuje na zobaczenie.

Pan Marjusz Maszyński, pomimo całej jaskrawości i przesady, daje kreację interesującą. Pan Samborski w roli wielomiljonowego przemysłowca-socjalisty, pani Romanówna w roli szwaczusi, która przez małżeństwo została miljonerką, pan Frietsche jako francuski arystokrata — są znakomici.

Przedewszystkiem jednak warto zobaczyć panią Milę Kamińską, która po mistrzowsku i z wielkim wdziękiem odtwarza trudną rolę Teresy Marnix. S. J. G.

MUZYKA

OKRES MIESIĘCY LETNICH—to czas refleksyj i uwag na temat minionego sezonu muzycznego. Zanim poświęcimy im nieco miejsca, zajmiemy się najpierw t. zw. popisami szkolnemi, ilustrującemi dorobek, metody a także atmosferę warszawskich wyższych uczelni muzycznych.

Popis szkolny jest szczególnie ciekawy dla tych, którzy bacznie i z prawdziwem, niekłamanem zainteresowaniem śledzą bieg naszego życia kulturalnego oraz warunki i klimat, w którym ma się ono rozwijać.

Nie można, niestety, powiedzieć, że wszystko układa się tak, jak byśmy tego powszechnie pragnęli. Wystarczą świetne uwagi doskonale redagowanej „Muzyki Polskiej", ażeby wysnuć cały długi szereg wniosków niesłychanie czasami przykrych i wołających o natychmiastową, ostrą reakcję. Niedawno czytałem słowa jednego z wybitnych pianistów i pedagogów polskich, który mówił, że jeśli „człowiek człowiekowi wilkiem", to co dopiero mówić o muzykach, którzy muzykom... i t. d.

A tymczasem potrzeba wielkiej sztuki jest coraz powszechniejsza, brak jej odczuwamy niemal boleśnie. Z uwagą i ciekawością patrzymy przedewszystkiem na codzienne wysiłki wyższych uczelni muzycznych.

Oczywiście... szkoła im. Chopina pochwaliła się nowym narybkiem żydowskim. Jeszcze jedne gwiazdy do całej plejady, wytwarzanej przedewszystkiem wskutek niewyczerpanej inicjatywy ruchliwej dyrekcji. Inicjatywy, myślę bowiem w tej chwili o urządzonym przed paru miesiącami konkursie skrzypcowym im. H. Wieniawskiego, oczywiście międzynarodowym, na którym opatrzono stemplami laureatów pokaźną gromadę młodych żydów... Impreza kosztowała coś około 4 tysięcy złotych. Bagatela! Weźmy tylko niezwykle ciężkie warunki młodzieży, studjującej sztukę muzyczną, a ocenimy całą niewłaściwość owego „propagandowego" wyskoku.

Do podobnych, a nie innych wyników szkoły im. Chopina już eśmy się potrosze (chociaż nie całkiem — czekamy innych czasów) przyzwyczaili. Zadziwia nas natomiast wytworzenie takich warunków w Konserwatorjum, które doprowadziły do ogólnego rozgoryczenia pośród studjujących, a następnie do manifestacyj w czasie wręczania nagrody Abramowi Krygielowi, marnemu zresztą, jak się okazało w porównaniu z innymi, nienagrodzonymi, skrzypkowi. Ci inni, to naprawdę uzdolnieni i najlepsze rokujący nadzieje: Jeśman, Trocki, Jarzębski *iunior* (wyjątkowo odznaczony) i Lewicki.

Jesteśmy głęboko przeświadczeni, że podobna sytuacja, której następstwem był wielce charakterystyczny incydent na dorocznym konkursie w sali Filharmonji, nie wytworzy się więcej. Leży to przedewszystkiem w interesie samej tej, bezprzecznie czołowej dzisiaj, uczelni w muzycznej w Polsce i ogólnej tendencji uzdrowienia stosunków w naszym świecie muzycznym. Wiele jest jeszcze do zrobienia — przebieg ubiegłego sezonu udowodnił to w sposób dobitny, sprawy te jednak odkładamy na kiedyindziej, do możliwie obszernego omówienia.

W. N.

POKŁOSIE

CZY NAWRÓT DO BISMARCKA?

DNIA 18 czerwca 1815 roku połączone siły angielskie i pruskie pod wodzą Wellingtona i Blüchera pobiły Napoleona pod Waterloo. Czy to tylko przypadek, że obecny układ morski angielsko-niemiecki zawarty został akurat 18 czerwca, w 120-tą rocznicę tamtego pamiętnego dnia angielsko-pruskiego braterstwa broni?

Układ ten zaskoczył opinję europejską, lecz doszukiwanie się przyczyn jego dojścia do skutku potoczyło się drogą, która stała się od pewnego czasu zupełnie banalną: oto Niemcy postawiły po raz nie wiadomo już który, swoich przeciwników przed faktem dokonanym i jeden z tych przeciwników pośpieszył fakt ten uznać i przy sposobności uratował dla siebie, co się dało, zawarł układ, zabezpieczający go przynajmniej na pewien czas. Pisze się przytem, że Niemcy tym razem przygotowały się szczególnie dobrze, że w tajemnicy posunęły fakt dokonany, t. zn. zbrojenia morskie bardzo daleko, że zwłaszcza w dziedzinie powietrzno-chemicznej osiągnęły jakieś niesłychane rezultaty, podczas gdy Anglja, uspokojona zniszczeniem floty niemieckiej w wielkiej wojnie i zajęta doprowadzeniem do porządku swych finansów, przespała moment i musiałaby zdobyć się teraz na wielki wysiłek, żeby odzyskać to, co stracone i przodujące miejsce utrzymać. Wybrała zatem drogę łatwiejszą, drogę układu, który da jej sporo czasu, nawet w tym wypadku, gdyby był przez stronę przeciwną zawierany w niezupełnie dobrej wierze. Nie mogąc zgnieść niebezpieczeństwa w zarodku, jak to leży w jej zwyczajach, ograniczyła je przynajmniej co do czasu przy pomocy kompromisu.

W ten sposób Niemcom udałby się po raz drugi manewr, o którym pisze w swych pamiętnikach b. kanclerz von Bülow. Gdy Wilhelm II z właściwym sobie impetem zainaugurował politykę morską, wszystkie wysiłki dyplomacji niemieckiej skierowały się do uspokojenia, uśpienia czujności angielskiej aż do chwili, kiedy powstająca niemiecka flota bojowa będzie już tak potężna, że Anglja dwa razy się namyśli, zanim z tą siłą do walki stanie. Dziś powtórzyło się to samo.

Oczywiście w takiem wyjaśnieniu ostatnich wydarzeń niema nic nieprawdopodobnego. Mogło tak być i pewno nawet tak było. Ale czy to jest wyjaśnienie wystarczające, czy obejmuje cały zasięg zdarzenia? Wiele jest okoliczności, przemawiających za tem, że mamy tu jednak do czynienia z rzeczą donioślejszą od jednego z tych zwykłych kompromisów, do jakich polityka powojenna nas przyzwyczaiła. Mimo głoszonej *„Entente cordiale"*, zaraz po zakończeniu wojny, nawet dla niewtajemniczonych w zawiłe arkana polityki stało się jasne, że sojusz francusko-angielski doszedł do skutku tylko dla jednego celu: pobicia Niemiec i trwał tylko dopóty, dopóki tego celu nie osiągnięto, poczem Anglja natychmiast zaczęła dążyć do odzyskania swobody ruchów. Mimo morza krwi, przelanej wspólnie, widać było, jak owa *Entente* rozluźnia się coraz bardziej, czuć było, że sojusz nie opiera się na głębszych nurtach duszy obu narodów, że więc po przejściu chwilowej potrzeby przeminie. Czy nie jesteśmy właśnie świadkami jednego z ostatnich, decydujących aktów tego procesu?

Brutalna nagłość układu 18 czerwca, przyjęcie zobowiązania wobec Niemiec o utrzymaniu w tajemnicy przed Francją ich programu rozbudowy floty, robią wrażenie, które obrazowo można przyrównać do nagłego ruchu ramion i łokci w celu otrząśnięcia z siebie krępujących więzów. Nie przywiązując tedy większego, niż mu się należy, znaczenia, owemu zbiegowi dat Waterloo i teraźniejszego układu, posłuchajmy, jak tłumaczy znaczenie tego faktu jeden z najwybitniejszych katolickich publicystów angielskich, na łamach tygodnika *„G. K's Weekly"*, wydawanego przez G. K. Chestertona. Otóż czytamy tam, że trzeba to rozumieć, jako powrót porozumienia, które łączyło Anglję i Prusy, względnie Niemcy przez czas długi, poprzez 200 lat, porozumienia niejako milczącego, bez formalnych układów, które jednak sprawiało, że dwie te potęgi zawsze w tym okresie stawały obok siebie, a nie naprzeciw siebie. Czas od 1914 roku do dziś, to tylko przejściowe nieporozumienie, wywołane przez niemiecką politykę morską, na którą Anglja zgodzić się w żaden sposób nie mogła, ale jeszcze na parę tygodni przed wybuchem wojny proponowała Niemcom swą dalszą przyjaźń, jeżeli się polityki morskiej wyrzekną. Dziś to się właśnie stało i przyjaźń, oparta na pokrewieństwie rasowem i religijnem, powraca. Dwa główne ośrodki protestantyzmu zbliżają się znowu do siebie.

Przywykliśmy, i słusznie, nieufnie traktować posunięcia niemieckie. Ale trzeba zważyć, że w tym wypadku byłby to z ich strony nawrót do Bismarcka, a ten przecież za pomniejszyciela Niemiec nigdzie uważany nie jest. Oceniał tylko dokładnie, jakie problemy warte są „kości choćby jednego pruskiego grenadjera" i orzekł, że nawet Bliski Wschód tej ofiary nie wart, nietylko zamorskie kolonje. Spędzało mu przytem sen z oczu — i jak przyszłość pokazała zupełnie słusznie — widmo koalicji. Wprawdzie od tej epoki minęło dużo czasu, Niemcy zasmakowały w swej przygodzie morskiej, a wiadomo, że trudniej wyrzec się rzeczy, której się już skosztowało, niż zupełnie nieznanej. Pozatem w duszy wielu Niemców piecze niezawodnie jeszcze rana upokorzenia tego marszu pod jarzmem kaudyńskiem, jakim był korowód statków niemieckich z opuszczonemi banderami, między dwoma szeregami okrętów angielskich od Wilhelmshafen aż do domu niewoli w Scapa Flow... Ale, z drugiej strony, jakie szalone korzyści, jaka swoboda ruchów na kontynencie wynika z tego wyrzeczenia! A kiedyś... Kto wie, co się stać może...

Pod wpływem wielu przyczyn, z których nie ostatnią jest suggestja żydowska, lekceważymy rasę i religję w polityce. Zdumiewa nas, gdy czytamy, że Clemenceau wykrzyknął, iż za nic w świecie nie wzmocniłby katolickiej Austrji przeciwko protestanckim Prusom. Że też to ktoś jeszcze takiemi przestarzałemi względami może się powodować!... A tymczasem te względy po staremu dominują.

Warto nad tem pomyśleć, bo nawrót do Bismarcka, to dla nas nie jest przecież drobnostka. ARGUS

NA MARGINESIE

Podobno... w jednym z dzienników sanacyjnych zdarzyła się fatalna pomyłka korektorska. Zamiast „Ustawa o wyborze posłów i senatorów" wydrukowano błędnie: „Ustawa o p o b o r z e... itd.".

Zecer tłumaczył się, że to drobiazg bez znaczenia...

*

W jednem z miast prowincjonalnych b. Kongresówki zastanawiano się, kto też będzie powołany do reprezentowania powiatu przy najbliższych wyborach sejmowych. Ktoś odezwał się:

— Jakto, nie wiecie panowie? Starościna!

— Dlaczegóż to? — zapytano ze zdumieniem.

— Moi panowie—padła odpowiedź—czyż nie jesteśmy przyzwyczajeni oddawna, że jeśli mają coś wykonać władze, występuje w ich imieniu starosta, jeśli zaś chodzi o reprezentację społeczeństwa, jakiś komitet obywatelski, jakąś całkiem dobrowolną składkę, wtedy na czele staje, rzecz prosta, osoba nieurzędowa, pani starościna...

— Prawda, prawda — przytwierdzono, kiwając głowami — a w miastach wojewódzkich wybiorą wojewodziny?..

TREŚĆ:

O jednym z żywotów ginącej epoki *Z. W.* — Polityka morska Władysława IV *W. Huberta.* — Franciszek II Rakoczi *K. S. Frycza.* — Rozprawa o historjozofji słowa *C. K. Norwida* (podał *St. Pigoń*). — Na widowni *J. Rembielińskiego.* — Głosy. — Z obcego świata *L. G.* — Nauka i literatura. — Teatr *S. J. G.* Muzyka *W. N.* — Pokłosie *Argusa.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.** Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM